№ 33. Warszawa, dnia 13 (1) Sierpnia 1881 r. Rok I

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

ŚREDNIOWIECZNY KAPITOL.

Największą niecnotą polityki jest nałóg tworzenia form państwowych, które odrazu nie posiadają warunków istnienia i w których życie sami ich autorowie nie wierzą. Zbieg egoizmów międzynarodowych, krzyżowanie się interesów, wikłających każdą sprawę polityczną, chęć zadowolenia najsprzeczniejszych pragnień i ułożenia chwilowej równowagi, słowem dyplomatyczny jarmark rodzi ciągle takie na śmierć skazane twory, które są głównymi nasiennikami wstrząśnień. Dla dogodzenia pretensyom tego lub owego gabinetu, tego lub owego męża stanu, gwałci się prawa narodów, rozłamuje się związki naturalne i zlepia sztuczne, nad których rozbiciem czas nieustannie pracuje. Świeżo mamy w pamięci taką operacyę, dokonaną po wojnie turecko-rosyjskiej na słowianach południowych, których połamano i powpychano w formy, niezdolne do wytrzymania wewnętrznego parcia. Takim również sztucznym, nietrwałym, partackim wyrobem politycznym było obwarowane „prawami gwarancyjnemi" papiestwo. Mocarstwa zainteresowane w losach tej instytucyi, pozbawiwszy ją władzy świeckiej, nie rozstrzygnęły dziejowego zagadnienia ostatecznie, lecz połowicznie; nie wytworzyły organizmu, opatrzonego należytymi środkami w walce o byt, lecz jakąś dziwną, pozorami ożywioną marę, która ani żyć, ani umrzeć nie może. Papież przestał być monarchą, a jednak nie stracił jego tytułów; pozbawiono go politycznego wpływu, a zatrzymano przy nim polityczne dekoracye. Rzecz prosta, że to nieokreślone jego stanowisko musiało pobudzać i pobudza żywioły opozycyjne do ustawicznych napadów, do pracy nad ostatecznem wywróceniem instytucyi, której dyplomacya europejska udzieliła słabych podpór.

W Watykanie krzyżują się dwie odmiennego kierunku siły: interes Włoch i interesy innych mocarstw europejskich. Pojąć łatwo, że oba te prądy równolegle dążyć nie mogą. O ile liberalne Włochy pragnęłyby zatrzymać w swem łonie środek ciężkości świata katolickiego, o tyle chciałyby usunąć dotkliwy klin, rozłupujący ich naród i tamujący swym bliskim, bezpośrednim wpływem jego rowój. Może najskrajniejsi w swej odrazie do Watykanu nie ustąpiliby papieża innemu mocarstwu; niemniej wszakże usiłują go pozbawić wszelkiego znaczenia politycznego we własnym kraju. Daliby mu świat cały—z wyjątkiem Włoch. Ciągła walka Stolicy Apostolskiej, ciągłe nurtowanie w narodzie, ciągłe rozdwajanie go nie może być obojętnem dla liberałów włoskich, którzy w niem słusznie widzą źródło nieszczęść ojczyzny. Całkiem inny jest stosunek zagranicy. Do niej wpływ papieski nie sięga tak potężnie, ażeby swą szkodliwością przeważał korzyści polityczne, z podtrzymywania walącej się budowy osiągane. Zawsze do niej rozmaite mocarstwa umieją schronić jakiś swój interes, i z chwilowego jej wydzierżawienia odnieść pewne zyski. Ponieważ więc papiestwo jest nietylko sprawą włoską, ale i ogólnie europejską, ponieważ w tym przez tysiące lat zwijanym kłębku plączą się najrozmaitsze nici, trudno go więc Europie rozsnuć, a liberalnym Włochom rozciąć, w sposób przez cywilizację nowożytną wskazany. Być też może, iż obecne przygotowania do ataku na tę średniowieczną twierdzę porobią w jej murach jakieś szczerby, ale jej nie zburzą.

Jak wiadomo, pobudkę do tego ataku dało przeniesienie zwłok Piusa IX, które klerykałom posłużyło za środek do podrażnienia liberałów, tym zaś — za sposobność do gwałtownego wyrażenia swej nienawiści. Obie strony wyzyskują obecnie tę awanturę dla wzajemnego zohydzenia się. Pierwsi wzywają na ratunek całej Europy, wykazują niedostateczność „praw gwarancyjnych," drudzy — potrzebę zniesienia tej rękojmi, dozwalającej Watykanowi na swobodną gospodarkę w kraju, wobec którego nie ma żadnych patryotycznych uczuć, nie spełnia żadnych patryotycznych obowiązków, lecz ustawicznie podpala go wichrzeniami, ażeby przy tym ogniu upiec swoją pieczeń. Kardynał Jacobini przesłał w imieniu papieża pełnomocnikom kuryi za granicą protest przeciwko znieważeniu zwłok Piusa IX, co uważa za obelgę Ojca św., za „obrazę religii i *cywilizacyi*" (wyraz ten czasem gości w watykańskim słownictwie), za ubliżenie godności najwyższego biskupa, za napad na wszystkich(!) katolików. Powołuje on rządy, duchowieństwo, narody katolickie i wszystkich ludzi uczciwych na świadków tej skargi i krzywdy; obwinia rząd włoski o pobłażanie rozbestwionemu ludowi, przytacza bezkarnie szerzone artykuły prasy liberalnej i, naturalnie, w końcu zaznacza, że papież potrzebuje lepszego bezpieczeństwa. Charakterystyczną cechą tej, jak wogóle wszystkich skarg papieża jest niepatryotyzm. Bo przecież, mimo kosmopolitycznego charakteru Stolicy Apostolskiej, jest ona instytucyą na gruncie włoskim, papież i jego główni pomocnicy są także włochami, a jednakże wszelkie swoje pretensye wytaczają przed sąd zagranicy, denuncyują przed nią własny rząd i naród, wyzywają interwencyę mocarstw obcych w sprawach swojej ojczyzny. Na takie niepatryotyczne postępowanie nie ośmieliłoby się żadne stronnictwo, żaden stan, żaden żywioł społeczny. Jest ono czemś tak prze-

kraczającem granice moralności obywatelskiej, że niepodobna dziwić się oburzeniom liberalnych patryotów włoskich, wyzyskujących owe denuncyacye na korzyść agitacyi przeciwko Watykanowi.

Agitacya ta przybrała obecnie dość poważne rozmiary. Jej komitet przygotowuje olbrzymi wiec narodowy, mający oświadczyć się za zniesieniem „praw gwarancyjnych.“ Ostrą przyprawą tego zgromadzenia będą ofiary byłej władzy świeckiej papieża, które rozpalą umysły wspomnieniami swych cierpień, i nadużyć kościoła. Wszystkie stowarzyszenia biednych robotników, wyzyskiwanych przez księży, gromadzą się pod sztandarem tej walki. Głównemu zgromadzeniu w Rzymie przewodniczyć będzie głośny patryota włoski, Petroni, męczony przez sąd papieski w lochach cytadeli Ś-go Michała. Jednocześnie mają się odbyć podobne wiece w Neapolu, Ankonie, Genui i innych miastach prowincyonalnych. Zaiste, obraz nader wymowny. Podczas gdy papież wytacza proces swemu narodowi przed dworami zagranicznemi, naród sądzi go u siebie w domu.

Dopóki sąd ten nie wychodzi poza trybunały meetingów, Europa obojętnie przypatruje się jego przebiegowi, a nawet wyraźnie odmawia współczucia zwyciężonym. Gdyby jednak włosi zechcieli załatwić się ostatecznie z papiestwem i poddać je pod ogólne prawa krajowe, niewątpliwie spotkaliby silny opór w wielu mocarstwach, dla których wszelkie niezdecydowane stosunki u sąsiada są bardzo pożądane. Nie oczekujemy też po obecnym, chociaż jaskrawym, ruchu zbyt poważnych następstw, któreby zdołały rozbić Stolicę Apostolską. To tylko jest pewnem, że w tej nowej walce znowu ona kawałek zachowanego gruntu utraci. Jest to nieubłagana konieczność jej losów, której nie zażegnają żadne reformy, a tem mniej akty niezrozumiałego już dla cywilizacyi fanatyzmu. A takie tylko akty wychodzą z kancelaryi papieskiej, która zamiast pogodzić się z postępem, ciągle tylko przeciw niemu protestuje. Daremne to wszakże protesty! Jeśli nawet szczere, odbijają się w ludzkości odgłosem rozpaczliwych krzyków konania. To szamotanie się bez siły jest zbyt często śmiesznem, ażebyśmy mogli roztoczyć nad nim aureolę prawdziwego bohaterstwa; udzielić mu możemy tylko nagany dla przeciwników, gdy ci nie przebierają w środkach i, jak przy pogrzebie Piusa, roznamiętniają dzikie instynkty tłumu. Idea w nim zgasła, pozostały tylko niskie żądze egoistyczne, które nie mogą natchnąć świata i podnieść jego potężnego ramienia. Żądze te upaść muszą wobec wspaniałych pragnień narodowych, które rzucają dziś włochów do ponownego ataku na Kapitol średniowiecznych tradycyj.

OBYWATEL POLSKI

z doby romantyzmu.

II.

Wybiła godzina ostatniego aktu wielkiej tragedyi, rozpoczętej sejmem czteroletnim. Rzeczpospolita istnieć przestała; ale naród nie umarł. Rozczłonkowany, wszedł on w liczbę składników trzech państw ościennych. Tradycya życia politycznego, szczególniej w dziale pruskim i austryackim, odbiła się jaskrawo od twardych warunków, które zamiast otrzeźwiać, wprawiały czulsze umysły w stan gorączkowego wrzenia. W starej siedzibie nie było już ujścia dla różnorodnych porywów rzutkiego patryotyzmu: zbrojne tłumy wyemigrowały za granicę, by pod sztandarami Napoleona „obiegać ziemię za duchem“ przeszłości. Kraj zaległa cisza grobowa; szczupła tylko garstka pozostałych na gruncie obywateli zajęła się uprawą sceny i języka, archeologią i rzewnem zbieraniem gruzów. Jestto początek doby, którą ze względu na charakter fantazyjno-uczuciowych dążeń społeczeństwa — nazwę chwilą socyalno-politycznego romantyzmu. Staliśmy się w niej błędnym rycerzem cyganem narodów. Marnotrawcy własnego mienia, błądząc po świecie, wyobrażaliśmy sobie, że jesteśmy jego odkupicielami, że Opatrzność „ująwszy nam ziemi, a spuściwszy niebiosy,“ „dała najwyższe w czasie powołanie;“ a próby krwawe i wstrząśnienia wielkie zamiast przytłumiać, rozwijały ten nastrój chorobliwy, który w zasadzie nie jest bynajmniej wyłączną cechą polskiej narodowości, lecz pospolitym owocem umysłu, wykołysanego na łonie odosobnionej cywilizacyi, a dotkniętego żelazną prawicą nieszczęścia. Trwało to dość długo, bo od schyłku przeszłego stulecia aż do r. 1863.

Poważny ten okres da się rozłożyć na kilka działów, oznaczonych granicami lat: 1807, 9 i 12, 15, 30, 46... Z biegiem czasu ideały obywatelskie ulegają zmianie — jaskrawią się lub bledną; ale z wytkniętej kolei prawie nie schodzą. Zupełny brak programu politycznego — budowanie zamków na lodzie, magiczno-wskrzesicielskie pokusy, wiara w cudzą pomoc i w wyniosłe stanowisko narodu na mglistej arenie dziejowych przeznaczeń, oto wspólne znamiona ówczesnych typów obywatelskich, zarówno w czasie pozornego pokoju, jak i w chwili samobójczego zrywania się ku własnym piersiom. Romantyzm w życiu wprzód do nas zawitał, niż romantyzm w pieśni; to, co z Niemiec i Anglii przeniesiono do piśmiennictwa polskiego, przy schyłku drugiego dziesięciolecia, było jedynie środkiem, zbliżającym region poezyi do dziedziny miejscowych podań, natchnień i dążeń, które później tak barwnie a bogato odbiły się w zwierciedle arcydzieł.

Idealne plany życia obywatelskiego, usnute przez wieszczów naszych w wiosennej i letniej porze romantyzmu (między 1815 a 1846 rokiem) dadzą się sprowadzić do dwu kardynalnych typów: jeden z nich jest płodem ducha mesyanistycznego, drugi niespokojnym snem epigonów Byrona. Tamten wyrósł na dziejowym gruncie klęsk narodowych, — ten, przyniesiony

---

3)

ŹLI LUDZIE

opowiadanie

JANA LIERA.

— Czuję wraz z tobą! — wyszeptała dziewczyna, śledząca ognistem spojrzeniem każde poruszenie ust Ludwika.

— Czujesz, jak jestem nieszczęśliwym? Wyrwany z łona rodziny, postawiony ponad ludzkością, zobojętniały na wszelkie uczucia przyrodzone, miałem być doradcą i przewodnikiem społeczeństwa, którego mi nie było wolno ani znać ani kochać, musiałem nauczać wiary, której we mnie niebyło, a na tę walkę wciśnięto mi do ręki sztandar, który duch mój dawno już był rozdarł. Spełniałem swą powinność z nienawiści ku sobie, wiedząc, że albo oszaleję, albo spadnę na prostego kuglarza. Poznałem ciebie, Małgorzato, a tyś się ośmieliła oprzeć mej nauce! Miotany gniewem i zazdrością, próbowałem na tobie siły swego apostolstwa. Ty chcesz być lepszą i szczęśliwszą odemnie. — a więc zabiję cię, wij się u nóg moich! Gwałtem popchnąłem się sam do takiego szaleństwa, czyniłem z tobą nieludzką igraszkę i — kochałem cię. Co wycierpiała dusza moja, nie pytaj. Ja chciałem, ja musiałem wyrwać sobie serce z piersi i pogrążyć twą duszę w ciemnościach na ofiarę mej wierze. Czyż może być obłuda bardziej zbrodniczą? Dziś dograłem do końca moją rolę, powaliłem cię o ziemię frazesami, w których niema nic prawdziwego — są one bez związku i bez treści. Dźwigam cię znów, bo ty nie możesz spaść między tłum bezgłowy, me serce tego niedopuści — nigdy!

Oczy Ludwika iskrzyły się, a ramiona jego silnie obejmowały dziewczynę.

— Idź! — mówił dalej, odetchnąwszy głęboko — zostań matce swej córką, ludziom siostrą.

— Pracuj, kochaj, przebaczaj. Naprawiłem wyrządzoną ci krzywdę, nie wierz, odpuść mi, Małgorzato, i — udziel mnie nieszczęsnemu swej rady.

— Ludwiku, kochałeś mię na przekór wszystkim przeciwnościom, ja ciebie także... kochałam. Wdzięcznem więc sercem daję ci moją radę, oddźwięk twych własnych słów. Nie obrażaj dalej swych uczuć i rozumu, zrzuć brzemię nieszczęścia, pod ktorem jęczysz z własnej woli. Żyj, pracuj, kochaj i bądź szczęśliwym.

Małgorzata z zapłonioną twarzą klęczała przed Ludwikiem.

— Z tobą, Małgorzato! — zawołał Ludwik, i przycisnął dziewczynę do serca, bijącego gwałtownie.

Słońce już było zaszło poza czarnemi lasy i ozłociło płynące po niebie nad łączką obłoki, których odblask odbijał się we mgle, występującej z łąk i lasów i obejmującej całą okolicę tajemniczą zasłoną. To w gęstwinie, to w dali odzywało się słabe, przeciągłe echo, jakby westchnienie już na pół drzemiącej przyrody, którą powoli ogarniał spokój wielki, uroczysty.

Nagle przeciągły okrzyk „Małgorzato!“ rozległ się wśród ciszy tak silnie i przeraźliwie, że oboje kochankowie, pogrążeni w roskosznem dumaniu, zerwali się przelękli. Ujrzeli przed sobą starą Kotyzową, w wyniosłej postawie bogini zemsty; blada jej twarz wydawała się skamieniałą lawą, jej wielkie oczy —kraterami zionącymi ogniem.

— Małgorzato, idź i czekaj na mnie! — rozkazała córce.

Przestraszona nagłem zjawieniem się matki, ulegając wpływowi jej olbrzymiej postawy, odstępowała Małgorzata powoli, krok za krokiem. Nie odeszła jednakże...

— Ty jesteś ksiądz Ludwik Jandera — przemówiła Kotyzowa do patra — znam cię! Posłuchaj, księże. Me serce zatwardziało wśród cierpień, a dusza stargała się w walce z nienawiścią ludzką. Kolebka moja stała w domu szlachetnych rodziców, któ-

z zachodu, osiadł na duszach zbolałych, jako poetyczny wyraz kosmolitycznego bardziej a samolubnego cierpienia. Typ mesyanistyczny łatwo odkryjemy w *Odzie do młodości*, w trzeciej części *Dziadów* — Mickiewicza, w przeważnej liczbie kreacyj wieszcza Zygmunta, w *Anhellim*, *Księdzu Marku* i wielu podobnych płodach twórczej wyobraźni Słowackiego, etc.; typ bajroniczny: w *Maryi* Malczewskiego, w *Konradzie Walenrodzie* — Adama, w *Janie Bieleckim*, *Mnichu*, *Arabie*, *Lambronie* — Juliusza, i w mnóstwie innych. Niekiedy poeci dochodzili do kunsztownego skojarzenia dwu zasadniczych wzorów, czego wymownym dowodem są *Dziady* i *Kordyan*. Wypada wreszcie zaznaczyć, że modele wskazane jakkolwiek wiążą się ściśle z pewnym poglądem na świat i sposobem tworzenia, zostawiają wszakże autorowi niejakie pole do rozwinięcia na danem tle zachowawczych lub postępowych, arystokratycznych lub demokratycznych pomysłów. Z tego punktu widzenia pewien określony wrąb zjawisk, należących do naszego przedmiotu, możnaby podzielić na dwa lub trzy typy (prawica, lewica i środek), równolegle do poprzednich. Poza tą ramą rozwijają się już tylko wzory historyczne, zabarwione lekko tendencyą współczesną.

Nie mogąc w pobieżnym szkicu wyczerpać rozległego tematu, poruszę jedynie szczegóły, które uważam za niezbędne. Typ mesyanistyczny ma swe zarodki w głębokiej przeszłości narodu; rozgościł się on szeroko na naszej niwie piśmienniczej, urobił mnóstwo charakterów, wywarł wpływ na masy; co więcej, wyrasta on z łodygi starojezuickiej, nie jako jej kwiatowa apoteoza, ale jako reforma i reakcya idealistyczna. Jemu więc przed innymi damy pierwszeństwo.

Najczystszym i najpotężniejszym wyrazem tego arcypopularnego niegdyś kierunku jest *Oda do młodości*, przecudny śpiew orła, unoszącego się nad skały w błękit sfer niebieskich. Nie mogła jej pojąć zgrzybiała starość chłodnych klasyków-sensualistów, — ale dobrze zrozumiała młodzież, wykołysana w kolebce czasów napoleońskich; dla nas znowu, a tembardziej dla przyszłego pokolenia staje się ona jeżeli nie zagadką, to w każdym razie... skamieniałością. Jakiż program życia, jakie rady natchnione daje w niej wieszcz współtowarzyszom?—Oto każe się im wznieść siłą zapału ponad „świat martwy," ponad zimne „szkieletów ludy," gdzie „pomroczeni snem" starcy „takie widzą świata koło, jakie tępemi zakreślają oczy;" gardząc samolubami, co „nie lgną do fali" społecznej, co żyją i giną bez wieści, wierzy on we wszechmocną potęgę uczucia: wzywa rówieśników, aby „jednością silni, rozumni szałem," przeniknęli „okiem słońca" wielkie tajniki ludzkości, w atmosferze błękitu urośli do rozmiaru olbrzymów, a opasawszy łańcuchem „ziemskie kolisko," odrodzili je przez miłość i na nowe tory popchnęli. Oprócz nowego programu życia, zaakcentowano tu dobitnie przełom między romantyzmem a zachodzącą już, bo wyczerpaną, ideją czasów Stanisławowskich. *Oda do młodości* była ostrą strzałą, rzuconą do obozu klasyków. Nie dziwimy się dziś wcale, że podrażniła ona miłość własną starców i zyskała u nich epitet „potwornego" płodu; bo jakże inaczej to arcydzieło wrzącej i wybujałej fantazyi mogli nazwać pospolici uprawiacze zdrowego rozsądku? Ale bardziej charakterystycznem, chociaż pospolitem w kronice świata zjawiskiem jest to, że owi starcy, lekceważąc młokosów, uważali się za niewzruszoną powagę, a swych przeciwników za sprawców zbrodniczego zamachu, zniesławiaczów przeszłości i panteonu narodowego. Posłuchajmy, jak gorąco jeden z przedstawicieli starego obozu wzdycha do złotych czasów, w których na Parnasie polskim panowała, niczem niezakłócona jednomyślność: „Jeszcze geniusz złego (powiada Koźmian w swych pamiętnikach), pycha, zarozumiałość spoczywały w kolebce; jeszcze młodzież ową sławną *Odą do młodości* uzuchwaloną nie była do targnięcia się na wszelką powagę, sławę literacką czy inną, *do pogardzania przeszłością* (tyrada — jakby w naszych czasach pisana!), do pomiatania sławą Śniadeckich i zasługami literackiemi Warszawy." Jestto głos przedstawiciela przeżytej już i zwiędłej idei, czciciela formy, której sok pożywny wyniszczyły gromy i niemoc umysłowa jej piastunów. Z tem wszystkiem pełna czaru poetycznego, wniebowstępna *Oda do młodości* nie należy do utworów, które błogi wpływ na społeczeństwo wywarły: była ona iskrą puszczaną na materyały palne, chaszyszem, napojem odurzającym dla wielu pokoleń...

Przyjrzyjmy się teraz ideałowi obywatela, nakreślonemu w czwartem dziesięcioleciu, gdy po burzy piorunowej, która przetrzebiła i rozsiała po Europie „mających" *tylko* „serce i w serce patrzących" zapaleńców, — zaległa ziemię cisza cmętarna. Jaki podówczas nastrój w głowach Tyrteuszów polskich panował, objaśnia powieść romantyczna Seweryna Goszczyńskiego p. t. *Król zamczyska*. Bohater jej, Machnicki był niegdyś z pozoru najpospolitszym w świecie człowiekiem — „mężem, ojcem, sąsiadem, szlachcicem, urzędnikiem, dobrym nawet urzędnikiem," ale już wówczas nosił w sobie „zaród przyszłej wielkości" — czytywał kroniki, i z mistyczną tęsknotą spoglądał na ożywione mieszkańcami pobliskie mury zamku Odrzykońskiego. Później opustoszał wspaniały budynek, a niewypowiedziany pociąg do gruzów z każdą chwilą wzrastał w umyśle maniaka; — aż pewnej nocy Machnicki, opanowany gorączką dzikiego obłędu, opuścił dom, i zamieszkał w zamku. Znalazłszy się w upragionym przybytku, doznał bohater całego szeregu uroczystych wrażeń: biły w niego gromy, a niekiedy i łaski spływały z niewidzialnego Olimpu przeznaczeń; — on jedno i drugie przyjmował z głębokiem odczuciem, w imieniu... milionów; bo był „królem" — wprawdzie przebranym w strój Stańczyka, ale namaszczonym na tę godność przez widmo... Chrobre-

---

rzy wychowali mię w wierze swych ojców; byli oni ewangelicy. Zapuścili w mą duszę zdrową latorośl z pnia silnej swej wiary i prowadzili mię pewną ręką po drodze cnoty. Byłam spokojną, szczęśliwą, aż do chwili, gdym spotkała młodzieńca pięknego i dzielnego, który opanował me serce, nie znające granic w namiętnej ku niemu miłości. Uległam mu; rodzice moi rozpaczali, ja jednak wierzyłam w uczucie mego kochanka. Przyszedł ksiądz i rzekł mi: „popadniesz w hańbę, ludzie wyrzucą cię z pośród siebie, dziecię twe będzie tułaczem na ziemi, bo kochanek twój nie może cię pojąć za małżonkę; tyś kacerka, odrzuć od siebie błędy swych ojców, wierz, jak wierzy twój kochanek a on ci będzie mężem, twemu dziecku ojcem. Bliska szaleństwa, wyrwałam z zakrwawionych głębin mej duszy wiarę w mego Boga i zabiłam rodziców, którzy pomarli ze smutku. Zastosowałam się do wymagań mego kochanka i jego wiary, a on mi to odpłacił zdradą. Wołałam, tarzając się w prochu, o zmiłowanie do niebios, a one mię niesłyszały; szukałam sprawiedliwości u ludzi, a oni mię odtrącili, darząc szyderstwem i złorzeczeniem; żądałam pociechy od was, księża, a wyście się ze mną obeszli jak z psem, napiętnowaliście mnie, jako grzesznicę, i kazali mi paść do nóg waszych, w żalu i skrusze za grzechy! Zgrzeszyłam, tak — moja wiara była grzechem! Siłą rozpaczy zerwałam się i kroczyłam dalej swoją drogą, wyrzekłszy się wszelkiej wiary, w niebiosa i w człowieka. Wtedy rzuciliście się na mnie, jak na dzikiego zwierza, a jednak bezsilnemi były wasze klątwy, — pociski stępione u nóg mych padały.

Wychowałam sama to dziecię mej miłości, na żywot dobry i uczciwy, zamykając przed niem w głębi duszy całą przeszłość i całą moją cierpkość dla ludzi. A teraz zbliżasz się do mej córki, ty, nikczemny człowiecze, nędzny głosicielu swej wiary, jednym tchem zatruwasz jej duszę, kradniesz mi jej serce, szarpiesz jej honor, uczysz swej obłudy i grzechów. Przeklinałabym cię, gdybym nie wiedziała, że klątwa jest tylko bezsilną śliną wściekłości; okryłabym cię hańbą, gdyby mi nie było wiadomo, że równa twojej niegodziwość jest u was lekkiem przewinieniem; zabiłabym cię, gdybym krwią twoją mogła oczyścić Małgorzatę!

Kotyzowa przystąpiła do Ludwika, a oślepiając go gniewliwymi błyskami swych oczu, mówiła dalej groźnym głosem, ciskając patrowi w twarz słowo za słowem, jak ciężki kamień.

Moją córkę pomści twe sumienie, przed którem pozostaniesz potworem, wyrzutkiem!

— Dość już matko! — Ludwik jest mym narzeczonym! — zawołała Małgorzata, i stanęła dumnie pomiędzy nim a matką.

* * *

Kroniki doubrawskie, zaczynające się roku pańskiego 1723, a w latach następnych kontynuowane wiernie i sumiennie przez panów pisarzy gminnych, zaznaczają wprawdzie wiele przejść ciężkich —zwykłe o dożynkach pożary, kilka pomorów bydła, wiele strat bolesnych, jak zgon znakomitych mężów—burmistrzów, proboszczów, radnych, kantorów i cechmistrzów; ba, nawet niektóre straszne przypadki wojenne, grady, mord pięcioraki, a wszakże w tej obfitującej w ważne epizody księdze wyróżnia się jedno niesłychane, niepojęte zdarzenie, które rzuca złowrogie światło na zepsucie tego świata.

Stare baby załamywały ręce, potrząsały głowami, a przejęte strachem nadstawiały uszu na wszystkie cztery strony świata, czy ich nie dojdzie odgłos trąby anioła pańskiego, wołającego na sąd ostateczny; mieszczanie radzili i pili z niezwykłą gorliwością, zaciskając pięści; i grożąc niemi jednomyślnie w kierunku „pustek;" kucharka na probostwie dawała przesolone potrawki i przypalone kurczęta, wskutek czego proboszcz chodził ze zwieszoną głową, a usta jego pomrukiwały coś, zostającego w bliskiem powinowactwie z „dies

go. Bez względu na to, czy Machnicki jest portretem, wizerunkiem rzeczywistej jednostki, czy wyobraźniową kreacyą ducha marzyciela, stanowi on w każdym razie typową postać rozbitków, którzy uchwyciwszy się deski okrętowej, marzą w przededniu śmierci o dawno przebrzmiałem życiu, uobecniają je sobie i w przyszłość odległą usiłują przenieść. „Kiedy tu wejdę (powiada bohater, ogarniający widnokrąg z wierzchołka wieży zamkowej), kiedy położę oko na tych górach i trącę je myślą, wnet lecę chmurą grzbietami całego łańcucha Karpat, ocieram się o morze Czarne, przepływam Dniepr, biegnę drugim jego brzegiem, ponad Dźwiną przechodzę do Baltyckiego morza, płynę jakiś czas morzem, zawijam w ujście Odry i ponad Odrą wpadam znowu na Karpaty, a zawsze pilnując się krawędzi tego horyzontu.“ Siedlisko Odrzykońskie uważa bohater za gniazdową kolebkę narodu: „ziarno jego (powiada) przypłynęło z wodami potopu, z raju (!), spoczęło w pieczarze, przebiło swoim kiełkiem skały i wyrosło w zamek. Z czasem zamek-praojciec rozpuścił swoje korzenie Bóg wie, jak daleko, za dziesiąte góry, za dziesiąte wody...“ Wszystko dokoła „króla zamczyska“ porusza się w takt jego urojeń, przemawia, śpiewa o przeszłości minionej, a ten gwar mistyczny ożywia błądzące w podziemiach zwalisko człowieka, i wypełnia akta urzędowe grobowego państwa. Czyż to nie wymowny obraz ruiny tego samego ducha, który w upojeniu wieszczem wzbijał się w obłoki — z „odami do młodości,“ z „hymnami orłów“?

„Króla zamczyska“ uważać można za ewangelią bankrutujących na drodze politycznej apostołów polskiego romantyzmu, w przededniu objawienia „mistrza Andrzeja.“ Jestto skarbiec dziejowych i proroczych metafor tej szkoły. Przeniknięty jej dumą monarszo-żebraczą, jej fantastycznym sentymentalizmem, posiada nawet właściwy sobie, łudzący w wysokim stopniu pseudo-myślicielski podkład: *aby ratować życie, trzeba zejść do jego źródła.* Wiemy już dzisiaj, że wskazane źródło zamiast „wody żywej“ zamykało w sobie trującą pleśń mogił, a ratunek był sennym i opłakanym; ale wówczas nie wiedziano, i Machnicki mógł śmiało liczyć na cały szereg następców. Autor, który ogrzał swym duchem, opromienił natchnieniem bladą postać obłąkańca, tak serdecznie uderza tu w czułe struny lutni, że choć słabszym i odmiennym śpiewa głosem, odnajdujemy w jego smutnej, nieprzybranej nawet w wierszową formę melodyi — to samo tętno uczucia, to samo dwu światów przeciwieństwo, które odbił wieszcz Adam nucąc: „Bez serc, bez ducha, tu szkieletów ludy!“ — tylko że tam stado sokole w górę się wzbijało, a tu, okryte ranami, majaczy na odwiecznych gruzach. „O! gdybyście wy wszyscy (mówi poeta Seweryn do tłumu prozaicznych samolubów) takiego pomieszania dostali, ludzkość byłaby mędrsza, szczęśliwsza niż dzisiaj...“ Bardzo wierzę, bo okryta łachmanami purpury, uważałaby się za skarbnicę mądrości i nie wiedziała nic o własnej niedoli.

Bajroniści i typy przez nich nakreślone stanowią drugą kategoryę w społeczno-literackim porządku doby romantycznej. Charakterystyczną cechą tej postępnej duchów drużyny jest, jak wiadomo, pessymizm i tragiczność, rozbrat ze światem i smutek bezbrzeżny, dążność do ideału, połączona z niewiarą w jego ziszczenie, pogarda wreszcie dla rzeczywistości, zdrowego rozsądku i mrówczej pracy. Wybitną różnicę pomiędzy tym rodem ludzi-szatanów, żyjących pod klątwą „lasciate ogni speranza“ — a mesyanistami polskiemi wskazanego wyżej gatunku — stanowi względny kosmopolityzm przekonań i nastrój krańcowo-pessymistyczny; oba zresztą światy są bliźnięcymi wytworami społecznego rozkładu: mają wspólną macierz, chodzą podobnemi drogami, jednakowe wydają owoce.

Najpiękniejszym płodem zmodyfikowanego w literaturze naszej bajronizmu jest bezwątpienia *Konrad Walenrod.* Wartość przeprowadzonej w nim teoryi dawno już oceniona została: wszyscy dzisiaj wiemy, że polityka ludów i bohaterów oparta na fałszu, chociaż może być do pewnego stopnia uniewinniona fatalnem powikłaniem stosunków, nigdy jednak niepowinna służyć za normę postępowania; bo prawda srodze się mści na swych bluźniercach, a długo noszona maska najczęściej do oblicza przyrasta; powinniśmy też wiedzieć, że poeta, mimo dewizy z Machiawellego („...bisogna esser volpe e leone...“), umieszczonej na czele poematu, nie doradzał bynajmniej członkom swego narodu przebierać się podstępnie w szatę tych, z którymi walczyć mają, chociaż z drugiej znowu strony, dalekim był od moralizowania na temat spaczonej edukacyi i wykolejonych przez nią jednostek. Współcześni wszelako mężowie, nie zdając sobie należytej sprawy z warunków, towarzyszących tworzeniu dzieła, to lżyli wieszcza, to spadali w przepaść po odmalowanym przez niego torze, i powiększali tym sposobem grono potępianego powszechnie typu walenrodystów.

Skojarzenie dwu zasadniczych idej (mesyanizmu z bajronizmem) możliwe jedynie przy umiarkowanej, że tak powiem, temperaturze pierwszego z tych nastrojów, jakkolwiek dosyć pouczające, nie przedstawia jednak wybitnych znamion. Większą budzą ciekawość uplastycznione w ideałach obywatelskich wyrazy arystokratyczno-klerykalnych i demokratyczno-postępowych dążeń; ale bój ten — pod wiosnę i lato naszej doby wre namiętnie — tylko poza świątynią poetycznego romantyzmu, który opierając się na pierwiastkach ludowych, nie mógł wzgardzić stanowczo zasadami demokratycznemi nawet wtedy, gdy w mesyanistycznym uanieleniu pragnął uwieńczyć cały naród dyademem odrodzonego przez miłość możnowładztwa. Najważniejszym w literaturze pieśniarskiej owego czasu faktem starcia się dwu przeciwnych żywiołów jest ognisty dytyramb Juliusza napadający w przed-

---

rae...“ W domu zaś pana burmistrza słychać było płacz pani Janderowej i zgrzytanie zębów pana Jandery.

Pater Ludwik Jandera znikł, opuściwszy zdradziecko swą oblubienicę, z którą się był zaślubił przez wyświęcenie, i pozostawił swe owieczki w biedzie i narzekaniu.

Całe zdarzenie było dość zagadkowem. Wiedziano tylko tyle, że wikary przyszedłszy wieczorem po uroczystości na probostwo, opętany od złego ducha, przemówił się w sposób gorszący z dostojnym swym zwierzchnikiem, i wcześnie rano odjechał na dobre; domyślano się dalej, że biedny księżulek wpadł w sidła dyabelskie, zastawione nań przez starą Kotyzową i jej córkę, które złożyły tak dotykalny dowód, swego powołania czarodziejskiego.

I opanowało Doubrawę wielkie wzburzenie. Wysłano pierwszego radnego z odpowiednią asystencyą, aby przywiódł czarownicę przed oblicze sprawiedliwości. Wrócił z niczem, bo ani Kotyzowej ani jej córki nie było na „pustkach“ — znaleziono tylko w chacie wiele książek, które już zdaleka czuć było pogaństwem i czarami.

Tym sposobem sprawdzono, że Kotyzowa z córką uniosły patra Ludwika, i albo go zadławiły, albo zawlokły prosto do piekła! W kilka dni potem opuszczona chata stanęła w płomieniach; za pobożnym podpalaczem nie śledzono, ponieważ każdy widział jak na dłoni, że na „pustkach“ panowała prawica samego szatana. Odtąd miejsce to pozostawiono już na dobre wodnikowi, błędnym ognikom i tym podobnej czeladce, dokazującej tam teraz o wiele niebezpieczniej, niż dawniej! Zgroza! Zdarzenie to wyzyskiwano długo — bawiono się niem przykładnie na probostwie i w gospodach, podczas długich wieczorów zimowych. Jednego takiego wieczoru krążył po miasteczku list pisany do ojca przez Franusia Smrczkę, uczącego się w Pradze na doktora. Brzmiał on w sposób następujący:

„Drogi Tatusiu!

Całuję Twe ręce i dziękuję za pieniądze, doręczone mi w porządku przez furmana. Posłałem Ci przez niego — naprawione okulary, a zarazem buty do podzelowania . . . . Dzielę się z wami wielką nowiną. W tutejszej kawiarni narodowej mają gazetę amerykańską *Na zdar* [1]), wychodzącą w Chicago (stan Illinois). Stoi tam dosłownie taki anons: „Rodacy! Wzywamy was abyście na uczczenie małżeństwa pomiędzy naszym ukochanym nauczycielem, panem Ludwikiem Janderą, a szanowną panną Kotyzówną, przyjęli udział w marszu z pochodniami i serenadzie, którą urządzamy wieczorem d. 15 lutego 187*. Niema pewno między Wami ani jednego, coby nie żywił szczerego szacunku dla zasłużonego wychowawcy naszych dzieci, dla zacnego doradcy i opiekuna wszystkich nieszczęśliwych. Niema między Wami kobiety, coby nie kochała szlachetnej panny Małgorzaty Kotyzówny, dyrektorki czeskiego klubu dam. Wiemy, że stawicie się wszyscy, jak jeden mąż. Zejdziemy się z uderzeniem godziny 5-ej w salon-room Mc. Demotl, 154, Blue Island Av. Jan Borovec, Piotr Tuma, zarządzający uroczystością.“ To dopiero będą się u was dziwić . . . . . .

I wistocie nastąpił podziw niemały w połączeniu z wszelkiego rodzaju ćwiczeniami w krasomówstwie doubrawskiem.

Pan Jandera boleje nad degeneracyą swego rodu; spadł z ciała o całe $14^1/_2$ kilogramów, a bywają chwile, że na wielki smutek korpusu strażaków pozwala sobie lekceważyć swój kapitanat generalny. Ba, powiadają nawet, że już raz coś mówił o rezygnowaniu ze swej godności. Straszna to wieść; wraz z szyszakiem pana Jandery ległaby w grobie doubrawska straż ogniowa, pobożna i pięknie umundurowana.

S. Tomaszewski.

KONIEC.

[1]) Czeskie życzenie pomyślności. (Przyp. tłum.).

dzień smutnej katastrofy na optymistyczną nutę „Psalmu miłości“ Zygmunta:

„Słaby tylko rzeź wybiera —
Czy mu imię jest Maryusza,
Czy mu imię Robespiera..“

Szczupłe ramy szkicu nie pozwalają mi scharakteryzować ideałów jesiennej doby romantyzmu, gdy skrystalizowany w sektę mesyanizm próbuje rezolutniej kroczyć po ziemi, a piastuni dawnych jego (przedhierarchicznych) sztandarów, bawiąc naród gawędami, silnie stoją przy kościotrupie tradycyi; powiem tylko, że w tej epoce przekwitu poezyi zaczęto się już powoli trzeźwić ze złudzeń, i sprawy społeczne (np. kwestyę wyzwolenia i oświaty ludu) podobnie jak dawniej — po ziemsku a racyonalnie traktować. Stajemy u kresu. Dzisiejsza chwila, inaugurowana przez założenie Szkoły Głównej w r. 1862, jest wymowną antytezą poprzedniej, dobą refleksyi krytycznej, przypominającą zdaleka czasy Zygmunta Augusta i Stanisława Poniatowskiego, ale wyższą od nich o całą skalę wyrobionego doświadczenia. Największą podobno sławę u potomnych przyniesie jej nowy zupełnie, pośród zwężonego widnokręgu działalności, program życia obywatelskiego, oparty na wewnętrznym sił społecznych rozwoju, na pewnej choć mrówczej, bo jawnej a organicznej pracy.

A. G. Bem.

Jerzy Stefenson.

Z powodu stuletniej rocznicy urodzin tego wielkiego męża, cała prasa świata cywilizowanego poświęca karty wspomnienia i czci dla jego geniuszu. Z pomiędzy wielkiego szeregu mniejszych i większych rozpraw, wybieramy jednę — Franciszka Józefa Pisko, dla przedstawienia czytelnikom naszym zasłużonego żywota i stanowiska cywilizacyjnego ojca i twórcy kolei żelaznych.

Dnia 9 czerwca b. r. upłynęło okrągłe lat sto od chwili, gdy Jerzy Stefenson ujrzał światło dzienne. Jakkolwiek pamięć tego człowieka nigdy nie zatrze się w ludzkości, jednakże w chwili obecnej występuje ona silniej niż zwykle. Wszędzie, głównie zaś w ogniskach kolejowych, urządzono uroczystości pamiątkowe. Obraz zasłużonego zajaśniał znów i odbił się tysiącznie w słowie, piśmie i rysunku.

Najuroczyściej, jak łatwo się domyślić, obchodzono rocznicę stuletnią Stefensona w Newcastle nad Tyną, w pobliżu którego, w wiosce górniczej Wylam, Stefenson urodził się, wychował, i gdzie znaczną część życia swego przepędził. Zarówno on, jak i znakomity syn jego, Robert, zawdzięczają zakładom naukowym Newcastle'u nietylko swoje wykształcenie, ale i wielu przyjaciół, którzy ich później gorąco w walce o byt popierali. I naodwrót, miasto Newcastle tak wiele zawdzięcza kołu, uskrzydlonemu przez Stefensona, że łatwo bardzo zrozumieć entuzyazm, z jakim jego mieszkańcy święcą pamięć wielkiego współziomka.

Pierwsze wrażenia, jakie w dzieciństwie otrzymał Stefenson, wypływały z ruchliwego, przemysłowego życia Northumberlandu, północnego okręgu Anglii. Tu znajdowały się liczne kopalnie, mianowicie węgla kamiennego, eksploatowane przez mnóstwo robotników, przeciążonych pracą. Tutaj obserwował uważny chłopczyna rozmaite machiny i pompy, które zręcznie z gliny modelował; później zgłębił on ich istotę, i doskonalił mechanikę—inwencyjną iskrą swego geniuszu. Wszędzie spotykał on natężoną, ciężką pracę, wszędzie całe szeregi wózków, popychanych po szynach z drewna, około chaty rodzinnej na spław ku rzece Tynie; a nosząc ojcu swemu, Robertowi, który był palaczem przy machinie parowej, posiłek codzienny, widział zadziwiająco akuratne ruchy tłoka i ramion machiny. Całe to otoczenie, dając młodemu Stefensonowi bogaty materyał nauki poglądowej, składało w umyśle jego zasób, który miał wydać potem obfity owoc. Rodzice Stefensona, jako biedni, ciężko pracowali: ojciec i brat jego starszy byli palaczami przy machinie parowej, matka zajmowała się gospodarstwem w domu i pielęgnowaniem czworga młodszego rodzeństwa; wcześnie też młody Jerzy musiał sam na chleb zarabiać. Do 8 roku życia był pastuszkiem, następnie awansował na poganiacza koni, w 14 roku został pomocnikiem palacza, a w trzy lata później widzimy go chłopcem, pracującym przy machinie, który uważał się już za człowieka skończonego, chociaż nie umiał jeszcze ni czytać ni pisać. To też w 18 roku życia zaczął uczęszczać gorliwie do miejscowej szkółki ludowej. W nauce rachunków okazywał wielką zdolność, tak, że niebawem, drogą samouctwa, przyswoił sobie zasady arytmetyki i geometryi.

W 20 roku życia został maszynistą do spełniania robót, które wymagały wielkiej akuratności, a polegały głównie na właściwem zatrzymywaniu i puszczaniu na nowo w ruch machiny parowej. Następnie otrzymał takież zajęcie w kopalniach Dolly, a nieco później w Wellington Quay nad Tyną. Zarabiał już 10 rubli tygodniowo. W 21 roku ożenił się z Fanny Henderson (28 listopada 1802 r.), o 12 lat starszą od siebie, ładną i rozumną kobietą, która po roku urodziła mu syna, nazwanego, ku uczczeniu dziadka, Robertem. Potomek ten dał się później poznać światu, jako genialny inżynier.

Nie upłynęło lat 4-ry, gdy śmierć zabrała żonę Stefensonowi (1806 r.). W czasie swego małżeństwa tak dalece postąpił w naukach, że został majstrem w przędzalni Montrose w Szkocyi (1807); stamtąd jednak wrócił wkrótce do stron rodzinnych, i był znów 4 lata maszynistą w Newcastle'u, a wskutek wielkiej biegłości w naprawianiu machin—został przyjęty przez wielkie Towarzystwo kopalni węgla w Kallingworth na majstra-mechanika (1812 r.). Zaprowadził on tam rzadko podówczas będące w użyciu — równie pochyłe, szynowe, po których wagony ładowne, toczące się na dół, ciągnęły napowrót pod górę wypróżnione już wagony, i przez rozmaite kombinacye zredukował do $^1/_7$ liczbę koni pociągowych.

Wkrótce potem Stefenson zajął się ulepszeniem pierwszej lokomotywy i dróg szynowych. Zobaczmy, w jakim zastał on je stanie. Drogi szynowe, w formie pierwotnej, nie są wynalazkiem nowym; już bowiem u starożytnych greków i rzymian spotykamy ślady podkładów wozowych, np. w świątyni Cerery, w Eleuzis. Widzimy je następnie w kopalniach niemieckich dla przewożenia wozów z rudą. W Anglii te szyny drewniane wyprowadzano z kopalni podziemnych na powierzchnię ziemi, wiodąc je dosyć daleko do przystani rzecznych i portów morskich. Z góry wagony staczały się własnym ciężarem, pod górę zaś ciągnęły je konie po linii szyn równoległej. Dla ochrony szyn drewnianych od zniszczenia, pokrywano je blachą żelazną. W połowie zeszłego wieku zaczęto szyny drewniane zastępować płytami z żelaza lanego, które następnie na kształt rynien wyżłabiano. Ponieważ jednak te rynienki łatwo zanieczyszczały się piaskiem, przeto przybijano wzdłuż— pręt wystający, po którym toczyły się koła.

Pierwsze szyny z żelaza lanego były przymocowane do podkładów podłużnych drewnianych, które potem zastępowano zwirem, a wreszcie podkładami poprzecznemi. Pierwotne szyny były prostolinijnie ścięte, a spodem miały formę brzucha rybiego. Ciągle ulepszane, szyny otrzymały nareszcie rozszerzenie u góry, które chroni wagony od wykolejenia.

Skoro tak ulepszone szyny spowodowały wielką oszczędność siły pociągowej i ułatwienie w komunikacyach górniczych, sprobowano zastosować je do wprawiania w ruch po ich powierzchni — rozmaitych machin. Najprzód pokuszono się stosować żagle do wagonów, ale bez pożądanego skutku. Następnie, gdy Watt (1774) udoskonalił machinę parową, myślano o poruszaniu parowozów po szynach. W zakresie usiłowań na polu budowy lokomotyw drożnych — odznaczył się głównie Ryszard Trevithick. Był on pierwszym, który puścił wóz parowy po szynach (1802), wątpiąc jednak, czy tarcie kół wozu naładowanego będzie dostateczne do spowodowania ich obrotu. Robiono tedy karbowane i ząbkowane koła, aby cel osiągnąć. Systemy te— Bleukinsopa (1811) i Blacketta (1812) — używane są obecnie przy lokomotywach kolei górskich, idących pod górę, po znacznych spadkach. Wkrótce jednak sprawdzono, że sam ciężar lokomotywy wywołuje tarcie kół — dostateczne do ich poruszania. Pokonano też zupełnie obawę mechaników, co do możności posuwania się lokomotyw po szynach.

U lokomotyw najpierwotniejszych cylindry parowe i tłoki umieszczone były luźnie, a ruch ich przenoszony na koła, za pomocą rozmaitych skomplikowanych przyrządów, kół zębatych, łańcuchów i t. p. Dopiero lokomotywa Trevithicka zbliżyła się swym kształtem do dzisiejszej (1802—4). Posiadała ona jednak jeden tylko pionowy cylinder parowy, którego tłok poruszał dwa zadnie koła lokomotywy; z przodu zaś znajdowały się dwa luźne koła biegowe. Nawet Blackett, który znacznie ulepszył lokomotywę Trevithicka w Wylam, zachował w niej ten układ zasadniczy (1812).

Pierwsze parowozy, jakie ujrzał w Wilamie Stefenson, należały właśnie do systemu Blacketta. Tam to przyjeżdżał Stefenson coraz częściej z Killingworth, i obserwował z natężonem zajęciem coraz nowe ulepszenia w parowozach. Czego im wówczas (1812) jeszcze głównie brakowało, to dostatecznej siły wytwarzania pary. Skutkiem tego nie raz sapały bezsilne lokomotywy Blacketta, pod ciężarem ładunku, a nawet często, co dzisiaj wydaje się wysoce komicznem, musiały być same ciągnione końmi. Usunięcie tej rażącej wady, owego, że tak powiemy braku tchu w lokomotywach — było pierwszą niezbędną potrzebą. Stefensonowi to udało się tchnąć w lokomotywę— prawdziwą potęgę pary, i postawić ją na dzisiejszem stanowisku olbrzymiej pożyteczności. Budowa dobrych lokomotyw była dla tego tak trudna, że para musiała być wytwarzaną w szczupłem miejscu a wielkiej stosunkowo ilości, i to w dodatku jeszcze przy ograniczonych rozmiarów ognisku, czyli innemi słowy, że ogień bardzo słaby musiał wytwarzać wielką ilość pary, aby nietylko toczyć po szynach lokomotywę z jej zapasem opału i wody, ale i ciągnąć cały szereg ładowanych wagonów z dostateczną szybkością. W dodatku jeszcze przeznaczenie lokomotywy nie pozwala na zbyt wysoki komin, tak bardzo potrzebny dla uzyskania wysokiego stopnia gorąca w ognisku. Już Ewans (1800) i Trevithick (1802—4) czynili próby, w celu osiągniecia jak największego ciśnienia pary; zobaczymy później, w jaki sposób Stefensonowi udało się rozwiązać owo zadanie ożywienia kotła parowego.

Stefenson zauważył, że zarodkiem do-

brej lokomotywy były parowozy wylamskie. Potrafił on zachęcić lorda Ravenswortha, głównego dzierżawcę kopalni węgla w Killingsworth do wzięcia na siebie kosztów budowy nowej lokomotywy próbnej pomysłu własnego. John Thirwall, kowal z tychże kopalni, wyuczony przez Stefensona, był mechanikiem jego lokomotywy. W lipcu 1814 r. machina była gotowa. Miała ona dwa cylindry, poruszające koła płaskie po szynach kantowych, za pomocą drągów składanych. Ponieważ machina ta miała ruch wstrząsający i była nieekonomiczną, przeto Stefenson przystąpił wkrótce, w 1815 r., do budowania nowej, w wyższym jeszcze stopniu ulepszonej. Zastosował w niej rurkę, odprowadzającą do komina parę zużytą, która swym nagłym prądem wzmacniała w nim znacznie ciąg powietrza. To zwiększyło znakomicie żar ogniska, prężność pary, a przeto i szybkość biegu lokomotywy.

Prócz tego ulepszenia, otrzymała lokomotywa Stefensona jeszcze inne, a mianowicie to, że wszystkie cztery koła były bezpośrednio przez drągi w ruch wprawiane, co również dało dobre rezultaty.

Po innych, pomniejszych ulepszeniach, Stefenson zwrócił znów swoją uwagę na drogę dla wagonów, a mianowicie na układanie i łączenie szyn. Wspólnie z Woodem robił badania i doświadczenia nad oporem, jaki pokonywać trzeba przy transporcie wagonów po szynach. Za pomocą wreszcie wynalezionego przez siebie siłomierza oznaczył on stosunek potrzebnej siły pociągowej do pełnego ładunku. Otrzymane przytem rezultaty liczebne, porównane z cyframi odpowiedniemi dla drogi zwyczajnej, okazały ogromną przewagę na korzyść kolei żelaznej, której tylko pochyłości należało uczynić jak najmniejszemi.

Jednocześnie (1815 r.) zbudował Stefenson lampę bezpieczeństwa, chroniącą tysiące robotników od utraty życia, skutkiem wybuchu gazów w kopalniach. Wynalazek ten, dokonany sposobem czysto empirycznym postawił Stefensona w kolizyi ze sławnym chemikiem, Davy'm, wezwanym do zaradzenia szkodliwym skutkom gazów w kopalniach, Davy przybywszy do Newcastle'u (1815 r.) użył również podobnej lampy bezpieczeństwa, i nadał jej ostateczną, znaną dziś formę, w której płomień otoczony jest siatką drucianą. Powstała zacięta walka o pierwszeństwo wynalazku, która po wyjaśnieniu szczegółów okazała, że obaj znakomici współzawodnicy w sposób uczciwy wpadli razem na jeden pomysł. Przyjaciele i czciciele obu wielkich ludzi uczcili ich hojnemi podarunkami z naczyń srebrnych i znacznemi nagrodami pieniężnemi po 1,000 i 2,000 funtów szterl. W świecie jednak naukowym znaną jest głównie „lampa Davy'ego."

S. Cz.

(Dokończenie nastąpi).

PROJEKT KONGRESU

międzynarodowego psychologów.

W lipcowym zeszycie czasopisma *Revue philosophique*, redagowanego przez T. Ribot'a, znajdujemy doniosłego znaczenia artykuł p. Juliana Ochorowicza docenta uniwersytetu we Lwowie, wyłuszczający projekt, którego wykonanie może istotnie przynieść wielki pożytek dla rozwoju i postępu wiedzy psychologicznej.

We wstępie do tej pracy, autor treściwie charakteryzuje obecny stan psychologii, która „przestała być nauką filozoficzną, a stała się empiryczną," ta zaś zmiana jej charakteru jest już „publicznym sekretem" współczesnej filozofii. Od czasów Wolffa, który podzielił swą metafizyczną psychologię ne *empiryczną* i *racyonalną*, wyzwala się stopniowo ta nauka, której jednak nieumiano dotąd naznaczyć właściwego miejsca w ogólnej klasyfikacyi wiedzy, i uważano ją już to za część logiki, już to zbliżając do fizyki, antropologii, w rzędzie nauk przyrodzonych mieszczono. Już Dolham w r. 1756 marzy o psychologii *kat'eksochen*, wolnej zupełnie od marzeń metafizycznych, a dążącej do wyjaśnienia tajników poznania; Krüger (w r. 1756) chce wykreślić z psychologii rozdziały o nieśmiertelności duszy ponieważ obserwacya nic o tem nie poucza. Tak więc pod koniec wieku XVIII, w czasie namiętnego, romantycznego „okresu burzy i prądu" zaczęto wytykać racyonalne drogi rozwoju; były to jednak przedwczesne, instyktowne aspiracye, nie zaś przekonania dojrzałe. W ciągu całego stulecia psychologia ustępuje wybujałemu rozkwitowi idealizmu, który począwszy od Kanta dał wspaniałe ale bezpłodne widowisko dla umysłu ludzkiego, budując szereg pięknych, śmiałych systematów, w których skromna wiedza o zjawiskach psychicznych nie grała żadnej roli. Sensualizm francuski, szkocka teorya asocyacyi — zostały zapomniane albo spaczone. Dopiero r. 1825 stanowi pod pewnym względem granicę idealną, punkt przejściowy, w którym pojęcia reformatorskie wieku XVIII spotykają się z metafizycznemi nałogami wieku. Przedstawicielem tego zwrotu jest Mill, Jouffroy, Śniadecki, Romagnosi, a szczególniej Herbart, który wywiera wpływ powolny, ale stały na swych współziomków, trwających tak uparcie w spekulatycznych nałogach. Obecnie dzieła Bain'a, Spencer'a, Taine'a i tylu innych pokazały, co to jest ścisła psychologia, oparta na obserwacyi i doświadczeniu, która gromadzi fakta i poszukuje praw. Studya psychologów w najrozmaitszych gałęziach pomnożyły się niesłychanie, tak, że jeden człowiek nie może objąć całego ich obszaru. Postęp jest nadto widoczny, podział pracy wydał swe błogie owoce, ale dr. Ochorowicz zwraca uwagę, że dotychczas nic prawie nie zrobiono dla zapewnienia tej nauce koniecznego warunku postępu, to jest ustalenia *jedności badania*. Od dawna już wśród chaosu spekulacyj słownych dawała się czuć ta potrzeba, którą głośno zaznaczali: Schönfeld, ksiądz Norwegski w r. 1764, i Ulrich prof. uniwersytetu w Jena, krzątający się około utworzenia indeksu biblioteki psychologicznej; niezależnie zaś od innych głosów europejskich uczonych — Śniadecki w r. 1821 wyraźnie oświadczył, że wartoby raz skończyć z sekciarskiemi rozprawami, i ugruntować jedną tylko psychologię — naukową. I dzisiaj, równie jak przed wiekiem, dają się słyszeć głosy domagające się jedności, ze tą tylko różnicą, że są one powszechniejszymi, że potrzeba ta stała się bardziej widoczną i naglącą, a urzeczywistnienie jej możliwem. Nie mówiąc już o chaosie panującym w psychologii filozoficznej, dosyć jest rzucić okiem na całą dziedzinę psychologii naukowej, albo raczej pragnącej zostać naukową, aby przekonać się, że pomimo zasadniczej jedności metody, jeżeli nie wykonywanej to przynajmniej przyjętej powszechnie, panuje zupełne rozstrzelenie wśród usiłowań jednostkowych, z powodu kompletnego braku *organizacyi pracy* i braku stosunków między uczonymi różnych krajów. „Rozprawia się bardzo wiele o prawach psycho-fizycznych, bez powiększenia liczby doświadczeń psychofizycznych, a ci, którzy zajmują się doświadczeniami, tak mało się zgadzają co do szczegółów metodycznych, albo raczej używają metod tak rozmaitych, że niepodobna ujednostajnić rezultatów badania, o metodzie zaś obserwacyi wewnętrznej nikt nawet nie myśli." Najprostsze termina używane bywają w najrozmaitszych okolicznościach.

Słowo np. *wrażenie* (sensation) używa się dla oznaczenia bodźca zewnętrznego lub wewnętrznego, fizycznego stanu nerwu, psychicznego stanu mózgu, uczucia, pojęcia, przymiotu ciała, pewnych nakoniec procesów psychicznych, którym towarzyszy świadomość. Często znakomity nawet autor staje w rażącej ze sobą sprzeczności, jak np. Bain określając *świadomość*. W wielu kwestyach zasadniczych główni przedstawiciele psychologii dają wyłączające się nawzajem odpowiedzi. Na pytanie np. czy istnieją nieświadome procesy myślenia — Mill, Bergmann, Bouiller, Troicki odpowiadają przecząco, a Morell, Jessen, Colsenet, Uszyński — twierdząco. Podobne sprzeczności spotykamy w dziełach psychologów, odpowiadających na pytania: czy umysł może współcześnie odbierać kilka wrażeń, czy może się w nim tworzyć współcześnie kilka wyobrażeń, czy czucia minimalne pod względem natężenia, są przyjemne, czy przykre, albo też obojętne. Podobny bezład panuje także i w zakresie klasyfikacyi wszystkich fenomenów psychicznych, tak, że czytelnik nieobeznany z przedmiotem, studyując najlepsze podręczniki tej nauki doświadczalnej, jak np. dzieła Bain'a, Spencer'a, Wundt'a, znajdzie tam tak wielkie różnice w układach treści, w nadaniu wagi tym lub innym przedmiotom, a nawet w samej zasadniczej metodzie, że weźmie je raczej za wykłady rozmaitych nauk, niż za podręczniki jednej gałęzi wiedzy. Wobec tego czuć się daje potrzeba jedności, dla osiągnięcia której używane są wogóle środki zbyt ryzykowne i zamało naukowe. Na podstawie jednego faktu, który drogą spekulacyi uznany zostaje za główny i typowy, próbuje się zwykle drogą dedukcyi wyprowadzić wszystkie inne i tym to sposobem powstają systemy psychologiczne, noszące piętno zbyt indywidualne, a zatem niezgodne ze sobą; tym sposobem Wundt dochodzi do rezultatu, że podstawowym procesem życia psychicznego jest *rozumowanie*, Horwicz twierdzi, że jest nim *uczucie*, a Hartmann, że *wola*; psychologia tedy osiąga jedność sztuczną, prawdziwą z jednego punktu widzenia, a fałszywą pod innymi względami. Dążność do tworzenia systematów oryginalnych, które wszystko obejmują a mało lub nic nie objaśniają, trzeba pozostawić, jak twierdzi dr. Ochorowicz, późniejszemu postępowi wiedzy, jeżeli uczeni nie chcą czasu tracić na próżno; nie należy bowiem zapominać, że psychologia jest nauką powstałą nie bardzo dawno, nauką faktów i indukcyi i że przez pewien czas musi zostawić na boku pretensye wyrobienia się na naukę rozumowania i dedukcyi. Jak obok fizyki i zoologii, które zajmują się uogólnianiem faktów i obserwacyj, istnieje fizyka i zoologia filozoficzna, traktujące o zasadniczych zagadnieniach życia i praw przyrody, tak obok psychologii opisowej może kiedyś powstać psychologia filozoficzna, której zadaniem będzie zbadać zasadnicze prawa początku i rozwoju życia psychicznego, treści siły psychicznej, i t. d.

Zanim jednak taka psychologia będzie mogła się narodzić i zająć stanowisko bardziej poważne, aniżeli psychologia metafizyczna, zwana racyonalną, trzeba ją jeszcze zostawić na boku, skupiwszy i skierowawszy wszystkie wysiłki ku zapewnieniu postępu psychologii w ściślem znaczeniu tego słowa, trzeba udoskonalić metody, nagromadzić obserwacye i powoli dochodzić do praw ogólnych. Ponieważ zaś aż nadto jest jasnem, że umysł indywidualny, choćby najpotężniejszy, nigdy jednym genialnym wysiłkiem nie stworzy całokształtu wielkiej nauki, trzeba więc uciec się do pracy zbiorowej, która da się wykonać za pomocą odpowiedniej organizacyi. Aby ją przeprowadzić, potrzeba jednego tylko środka — kongresu psychologicznego. Dr. Ochorowicz podaje następujące sposoby urzeczywistnienia tej myśli, która dla przyszłości psychologii może być płodną

w bogate następstwa. Przedewszystkiem dyskusya otwarta przez redakcyę czasopisma *Revue philosophique* ma posłużyć do wyjaśnienia głównych punktów działalności kongresu. Następnie autor proponuje, aby redakcya, objąwszy tymczasową dyktaturę, uorganizowała komitet, któryby zajął się wyznaczeniem miejsca, i zaproszeniem uczonych ze wszystkich krajów. Pomijając prawidła praktyczne, które autor wyłusza, powiemy tylko, że dr. Ochorowicz zaznacza następujące gałęzie nauk psychologicznych, według których kongres rozdzieliłby swe prace:

1) *Psychologia ogólna*, oparta przedewszystkiem na doświadczeniu wewnętrznem, zajmująca się kwestyami terminologii, klasyfikacyi i metodologii. W tym kierunku kongres powinienby podnieść kwestyę wydawnictwa *Podręcznika metodologicznego*, mogącego służyć zaprzewodnik do badań psychologicznych, któryby ściślej określił szczegóły metody fizyologicznej oraz introspektywnej, ustalił metody częściowe, te zwłaszcza, które są możliwe do zastosowania w dziedzinie obserwacyi wewnętrznej, aż nadto zaniedbanej do dzisiejszych czasów.

2) *Psychologia fizyologiczna*, oparta na doświadczeniach, odbywanych w laboratoryach. W tej sekcyi kongres będzie miał wielkie zadanie zgromadzenia i przedyskutowania wszystkiego, co się tylko tyczy fizyologii systematu nerwowego; przedstawia to niemałe szkopuły ze względu na potrzebę zjednoczenia wielości doświadczeń częściowych, rozproszonych w rozmaitych rocznikach lekarskich, z któremi nie spotyka się psycholog niewtajemniczony w nauki medyczne.

3) *Psychologia patologiczna*, ugruntowana na obserwacyach zboczeń umysłowych, na badaniu wszystkich anomalij, które spotykają się poza szpitalami, to jest, głuchoty, ślepoty, mikrocefalów, somnambulizmu etc.

4) *Psychofizyka*. Praca w tym kierunku może być bardzo płodną:—polega ona na zgromadzeniu doświadczeń i porozumieniu się co do metody. Pod nazwą psychofizyki rozumie autor nietylko badania, tyczące się stosunku, jaki zachodzi pomiędzy pobudzeniem a percepcyą, ale i doświadczenia czynione w celu wykrycia szybkości, z jaką nerwy przesyłają zasadnicze czynności psychiczne.

5) *Psychologia kryminalna*. W tej także dziedzinie kongres ma przed sobą bardzo ważne zadanie: podejmie się bowiem zgromadzenia badań wielu uczonych i wyjaśnienia praw zasadniczych, mało lub wcale nie uwzględnianych przez dotychczasowe prawodawstwo.

6) *Psychologia zoologiczna*, uważana za podstawę psychologii ogólnej, a będąca jeszcze w kolebce. W tym kierunku ważnem zadaniem jest nietyle pomnożenie doświadczeń, ile raczej sprawdzenie i skupienie ich w pewną całość.

7) *Psychologia pedagogiczna i etologia*, czyli nauka o charakterach. Pierwszej przypisuje autor tem większą wagę, że obecnie w praktyce szkolnej gwałcone są elementarne zasady, określające normalny rozwój umysłu i charakteru.

8) *Patognomonia*. Pod tym terminem dr. Ochorowicz gromadzi studya nad wyrazem zewnętrznym uczuć ludzkich, rzucające ważne światło na istotę naszych radości i boleści; do tej dziedziny zalicza on także badanie wyrazu, towarzyszącego przeciągłym cierpieniom.

9) *Psychologia sztuki*, to jest badanie warunków psychicznych, w których możliwem jest wytworzenie dzieła sztuki, a nadto śledzenie wywoływanych przez nie wrażeń estetycznych. Słusznie twierdzi dr. O., że powołaniem tej gałęzi psychologii jest gruntowna reforma spróchniałego gmachu estetyki niemieckiej.

10) *Psychologia historyi*, której powołaniem jest dopełnić filozofię historyi, w naszych czasach dopiero narodzoną. W tym dziale autor pomieszcza badania wszelkich praw psychologicznych, które odnoszą się do duchowego rozwoju ludzkości — psychogenii nauk, sztuk, religii i etologii ludów.

11) *Psychologia matematyczna*, która ma tylko jednego reprezentanta, W. Drobisch'a w Lipsku. Autor wątpi, czy kongres będzie się nią specyalnie zajmował, ale przypuszcza, że zwróci uwagę na *psychologię matematyki*.

12) Ostatni dział stanowi *historya psychologii*, zaniedbana przez współczesną naukę.

Wyliczając te podziały, dr. Ochorowicz oświadcza, że niekoniecznem jest zorganizowanie wszystkich sekcyj — (zależeć to będzie od liczby uczestników, oraz od ich decyzyi), i tłomaczy, że celem jego było tylko wykreślić rozmaite kierunki śród szerokiej dziedziny badań psychologicznych, wykazać, że niebrakowałoby przedmiotu do dyskusyi ani też uczonych, gdy w każdym z tych działów pracuje mniejsze lub większe grono specyalistów. Na zakończenie swego projektu autor wykazuje liczne korzyści, jakie może kongres wywołać, bogacąc wiedzę uczonych wzajemnemi ich zdobyczami, pozyskując dla psychologii udział innych specyalistów, odnawiając węzły pomiędzy tą nauką a innemi gałęziami wiedzy doświadczalnej, kojarząc dotychczasowe odkrycia i budząc zajęcie powszechne dla tej odmłodzonej nauki, słusznie nazwanej najpiękniejszą i najbardziej godną człowieka.

Jak widzimy z tego pobieżnego streszczenia, dr. Ochorowicz bardzo jasno wykazał doniosłość kongresu w obecnym stanie badań psychologicznych, które potrzebują tylko usystematyzowania i karbów ściślejszej metody, aby kroczyły dalej skutecznie drogą postępu, nie błądząc po omacku w dziedzinie hipotez lub indywidualnych poglądów. Kongres taki jeżeli dojdzie do skutku, może stanowić punkt zwrotny w rozwoju nauki, i przyśpieszyć rezultaty wielostronnie podejmowanych badań, skoro im okaże właściwe punkta wytyczne.

LABORATORYUM FIZYOLOGICZNE MAREY'A.

Zawiązuje się obecnie w Paryżu nowa instytucya, obiecująca ważne na przyszłość rezultaty.

Marey, profesor w Collège de France napisał do Rady municypalnej miasta Paryża list, w którym żąda pomocy do założenia *stacyi fizyologicznej* na wielką skalę, gdzieby można było robić doświadczenia takich rozmiarów, którym uczony w swem własnem laboratoryum poradzić nie może. Głównym zadaniem robót w takiej pracowni byłoby dokładne zbadanie funkcyi mięśniowych człowieka i zwierząt, i wyprowadzenie z nich wniosków o najkorzystniejszem ich wyzyskaniu w codziennem życiu.

Marey jest znakomitym badaczem na tem polu; jemu to zawdzięczamy mnóstwo ważnych odkryć w dziedzinie lotu ptaków, chodu zwierząt i t. p. On to powynajdywał liczne przyrządy do badania krążenia krwi, oddychania i innych funkcyj fizyologicznych. Wieloletnie poszukiwania doprowadziły go do rezultatów ważnych we wszystkich niemal dziedzinach fizyologii. Chodzi teraz o uzupełnienie całości. A z tego, co dotychczas w małej pracowni p. Marey otrzymał, można wnioskować o postępach do realizowania w laboratoryum, gdzie znakomity ten uczony mieć będzie wszystko pod ręką, na zawołanie.

Żeby ocenić doniosłość prac, które tam mają być wykonane, podajemy w streszczeniu program, przedstawiony Radzie municypalnej przez p. Mareya. Zobaczymy, jak wiele rzeczy jest do zrobienia.

Badać się więc naprzód będzie wpływ gimnastyki na rozwój funkcyi fizyologicznych. Sprawa ta dotychczas nie jest ściśle i dokładnie poznaną. Trzeba przez długi czas, na wybranych w tym celu osobnikach, robić ustawiczne próby, mierzyć przytem, za pomocą udoskonalonych przyrządów, zmiany, jakie wskutek różnych ćwiczeń w różnych częściach ciała zachodzą; trzeba poznać, które z tych ćwiczeń głównie się przyczyniają do nadania ciału siły i rzeźkości, nie przeszkadzając wcale, u ludzi młodych, rozwojowi zdolności intelektualnych; trzeba się przekonać, jak po długich ćwiczeniach zachowują się płuca, i jakie w krążeniu krwi pojawiają się modyfikacye.

Z temi badaniami wiąże się cały szereg innych, nie mniej ważnych. W nowej pracowni specyaliści dążyć będą do odkrycia sposobów najlepszego zużytkowania pracy ludzkiej w rzemiosłach, będą badać jak mają być zrobione narzędzia, żeby przy ich pomocy można było otrzymać najlepsze skutki, używając jak najmniejszego wysiłku mięśniowego. Trzeba tam będzie oznaczyć ciężar, kształt i rozmiary tych narzędzi; poznać, które z manipulacyi, używanych przez rzemieślników, najmniejszej pracy mięśniowej wymagają, słowem odszukać najkorzystniejsze warunki pracowania.

Jest to tak obszerne i tak ważne pole badań, że nie potrzebujemy bliżej wykazywać jego doniosłości.

Do tego samego szeregu należy oznaczenie najodpowiedniejszej szybkości i długości kroku żołnierza, w czasie długich pochodów; wynalezienie najdogodniejszej formy obuwia oraz dokładnego oznaczenia ciężarów największych, jakie żołnierz w mniej lub więcej szybkim marszu dźwigać może.

Niemniej ważnymi okazami do poszukiwań będą zwierzęta, używane przy wykonywaniu robót pomocniczych.

P. Marey zamierza zbadać w nowem laboratoryum najodpowiedniejszą postawę („allure") koni w zaprzęgu i pod jeźdźcem, oznaczyć dokładnie różnicę między postawą normalną a wadliwą („defectueuse"), oraz znaleźć sposoby zaradzenia wadom.

Do licznych zadań nowego laboratoryum należeć też będzie poszukiwanie najlepszych sposobów zaprzęgu, dla oszczędzenia pracy i sił zwierząt pociągowych. Na tem polu p. Marey oddał już znakomite usługi. Wykazał on przedewszystkiem, ile to traci się energii mięśniowej koni, przy zwykle używanym zaprzęgu, gdy koła wozu ciągnionego napotykają na jakiekolwiek przeszkody. Uderzenia takie zużywają bezowocnie znaczną część siły. Aby to usunąć, p. Marey zaproponował wstawianie, między zaprząg a wóz, sprężyn stalowych, lub też kauczukowych. Pomysł ten okazał się bardzo praktycznym.

Oprócz tego, zwierzęta mają być poddane badaniom innego rodzaju. Siła ich i wytrzymałość przy pracy zależną jest w znacznym stopniu od pokarmu spożywanego. Pozostaje więc do rozwiązania kwestya, jaki trzeba dawać pokarm i w jakich ilościach, w stosunku do rodzaju robót wykonywanych.

Jednem słowem, program postawiony przez p. Mareya zawiera pytania tak doniosłe, że nie przypuszczamy, aby Rada miejska nie poparła usilnie pomysłu założenia stacyi fizyologicznej.

Po uczonym profesorze, który już tylu pięknych odkryć dokonał, spodziewać się można tem więcej, im potężniejsze środki mieć będzie do rozporządzenia.

B. A.

ZABAWNY PROROK.

Przed kilkunastu laty lektor języka czeskiego w tutejszym uniwersytecie, p. Jezbera wydał „Ojcze nasz“ we wszystkich językach słowiańskich i ozdobił je wyznaniem, że ludy słowiańskiego szczepu powinny się zrzec swoich języków i przyjąć wspólny, rosyjski. Zdawało nam się wówczas, że p. Jezbera pozostanie bez naśladowcy, tymczasem doczekał się—chociaż całkiem nieoczekiwanego—w osobie takiej powagi, jaką jest słynny lingwista Max Müller, który poszedł jeszcze dalej, bo zażądał (*Deutsche Rundschau*), ażeby nawet Rosya zrzekła się swej mowy i ażeby wszystkie narody poprzestały na czterech. Jakich? Zobaczymy, poznawszy samą rzecz, która się nie śniła filozofom, nawet p. Jezberze.

Już dawniej, w *Albumul Macedo-Roman*, Max Müller rozpłakał się z radości, że rumunowie zarzucili w wydawnictwach naukowych mowę ojczystą. Spodziewał on się, że za tym chwalebnym przykładem pójdą rosyanie, węgrzy, finnowie i inne ludy.

W wiekach średnich — powiada — mówiono i pisano wieloma nieznanymi językami, ale wielki parlament nauki posiadał zawsze *lingua franca*, łacinę, za pośrednictwem której każdy, kto chciał być czytanym przez najlepsze umysły swego czasu, był wszędzie rozumiany.

Dziś, prócz papieża, nikt nie pisze po łacinie, a ograniczając się na mojej specyalności, wyznać muszę, że cenne prace Lönrota, Afanasiewa, Hazdena, są dla mnie zupełnie niedostępne, jeżeli który z moich poliglotycznych przyjaciół nade mną się nie zlituje. Jeżeli tak dalej pójdzie, uczeni będą musieli poumierać na chroniczny mezofantyzm. „Ale po co wołać na puszczy“ — rzekną wszyscy rozumni ludzie, słysząc o jakimś ruchu, który za ich życia nie osiąga swego celu. Naturalnie nie doczekamy, ażeby wszystkie książki naukowe były drukowane w czterech językach świata, zarówno jak nie doczekamy, ażeby niemcy zrzekli się swoich paskudnych liter na korzyść łacińskich. Ale też nic nie postępuje wolniej od — rozumu. Jestto prawdziwy żółw. Ostatecznie jednak posuwa się.

Czem byłby świat bez każących na pustyni, bez męczenników i proroków? Czem byłyby Niemny bez Walthera, Huttena, Arndta, Uhlanda? Dopóki żyli, nazywano ich marzycielami, a nawet ludźmi niebezpiecznymi; ich słowa uważano za niedojrzałe ideje, których człowiek praktyczny i prawdziwy mąż stanu może lekceważyć. Tak działo się i dziać będzie zawsze. Gdy owoce dojrzeją, każdy je zrywa, ale skądże by się wzięły dojrzałe, gdyby nie było niedojrzałych?

Czego pragnie język?

Pragnie wiele i wiele dokonał.

Wszystko, czem jesteśmy i co posiadamy — nazwijcie to, jak chcecie: myśleniem, wiedzą, twórczością — nie powstałoby bez języka.

Do czego wszakże zmierzał przedewszystkiem język, gdy wydobywał się w tonach, a słowa na skrzydłach śpiewu ulatywały w świat szeroki?

Zwoływał obcych ludzi, jak się zwołują ptaki, rozpraszał ciemne mgły, które jednych zasłaniały przed drugimi, gromadził przyjaciół z bliska i zdaleka. Chciał ogarnąć miliony, a pierwsze słowo było pierwszem pozdrowieniem, pierwszem pocałunkiem całego świata.

Ale to, czego język pragnął, zabiło właśnie języki. Nie łączą one ludzi, lecz ich dzielą, bardziej niż góry i morza. Ptaki w lesie rozumieją ciągle dawne swoje głosy — ludzie już się nie pojmują. Jak ptak w klatce, podobnie duch ludzki uwięziony jest w swym własnym języku. Usiłuje wydobyć się na wolne, świeże powietrze, ale żelazne kraty języka powstrzymują go, aż wreszcie zapomni o dawnem marzeniu ludzkości, a ludzi, żyjących w innych klatkach nazywa pieplaczami (*Mlěkkha*) lub niemymi (*Niemcami*), lub nawet barbarzyńcami.

Znajdą się mądrzy ludzie, którzy nam powiedzą, że tak być musiało, że inaczej być nie mogło, że rozdzielenie się ludzkości było dobrodziejstwem, gdyż jedynie w wielu kółkach drobnych zdołało się objawić całe bogactwo natury ludzkiej.

Pięknie, pięknie. Znamy mądrość, która mniema, że wszystko, co istnieje, jest rozumnem. Ale znamy także inną, która o to się stara, ażeby przynajmniej cóś z tego stało się rzeczywistem, co jest rozumnem.

Blisko tysiąc języków ludzkości — to nierozum, bo co samo sobie przeczy, mimo całej filozofii, jest i pozostanie nierozumnem.

Królestwo nierozumne wszakże jest dość wielkiem i potężnem, zburzyć się więc odrazu nie pozwoli. I ministrowie jego są bardzo roztropnymi ludźmi. Nikt nie mówi tak rozumnie, jak ci kapłani świętego nierozumu. Gdy chcą bronić złego, naciągają kaptury. Gdy mają powiedzieć cóś bardzo głupiego, nakładają akademickie birety. Gdy znowu potrzeba wyprzeć cóś użytecznego, ubierają się w czapki frygijskie, zdobią się ojczystemi barwami i chorągwiami.

Pod maską patryotyzmu wmówili w narody, że niema nic nietykalniejszego, nic świętszego nad ich mowę ojczystą, i że naród przestaje istnieć, gdy straci swój język. Wallonowie powinni ciągle pisać i mówić po wallońsku; w przeciwnym razie dopuszczą się zdrady względem siebie i swoich przodków. Dziś niema narodu, wielkim jest czy małym, któryby nie wyznawał tej teoryi.

Jedyny wyjątek stanowi, i cały świat zawstydza, Japonia. Naród ten, liczący około 35 milionów, posiadający starszą cywilizacyę i literaturę, niż większa część europejskich, zbudziwszy się ze snu i rozejrzawszy w świecie, w którem istniał obcy i niezrozumiany, poczuł, że swą mową, jak z kulą u nogi, nie wejdzie nigdy w bieg ludzkości. Prawdziwi patryoci, którym dobro potomnych bardziej leżało na sercu, niż wygoda współczesnych, postanowili, ażeby we wszystkich szkołach uczono po angielsku i ażeby tym sposobem dorastające pokolenia mogły wejść w duchowe stosunki z Anglią i Ameryką, a wreszcie z koloniami całego świata. Czy przez to miał być wykorzeniony język ojczysty? Bynajmniej, pozostał i pozostanie długo, jako mowa miejscowa i potoczna domu i rodziny, miłości i cierpienia.

Dawniej język łaciński był *lingua franca* ducha. Czas ten minął, a na miejsce języka umarłego wstąpiły cztery żyjące, między którymi wybierać może każdy naród, pragnący wejść na scenę świata: angielski, francuski, niemiecki i włoski. Wszelki uczony, filozof, mąż stanu, który chce głos zabierać, musi jednym z tych języków swobodnie mówić i pisać, zarówno jak każdy ukształcony musi je rozumieć.

Że obok tej literatury świata może dalej kwitnąć miejscowa poezya, że każdy rok przynosić nam będzie w obfitości rumuńskie pieśni, serbskie ballady, duńskie tragedye, dolno-niemieckie vertelle i rosyjskie nowelle (?) — któż wątpi? Językiów świata jednak, które mają przeszłość (?) i przyszłość, jest obecnie w Europie tylko cztery. Czy wytworzy się jeden język świata, którym porozumiewać się będą narody, kościoły i akademie — kto wie? Języki Babylonu, Jerozolimy, Aten i Rzymu przebrzmiały, albo angielski, francuski, niemiecki, włoski są od nich lepsze?

Pozostawmy to jednak przyszłości i wielkim nadziejom! My, każdy z nas może tylko na szerokiem polu nierozumu przynajmniej jeden przesąd wyrwać z korzeniem. A takim przesądem jest mniemanie, że prawdziwa miłość ojczyzny staje się niemożliwą bez ojczystej mowy i że pierwszy obowiązek każdego patryoty polega na wiecznem noszeniu zardzewiałej zbroi ojczystego języka, zarówno w pokoju jak wojnie.

Tak nad głupimi narodami, dla których ojczysta mowa jest sakramentem życia, lituje się nie Bismarck, nie tępiący ludy niszczyciel polityczny, ale uczony Müller. Wieluby rzeczy potrzeba nauczyć tego „proroka,“ ażeby zrozumiał swoje ministerstwo i kapłaństwo w „królestwie nierozumu.“ Zdaje nam się jednak, że oświeciłaby go przejażdżka do nas. Gdyby języki istniały tylko dla wygody uczonych, a zwłaszcza takich lingwistów, którzyby pragnęli znać tylko cztery, nie mielibyśmy nic przeciwko jego projektowi i rozpoczęli, na wzór japończyków, uczyć swe dzieci nawet po angielsku. Ale niestety są to nieodłączne, najważniejsze organa duchowego życia społeczeństw, których nie można pozbyć się z taką łatwością, z jaką wyjmujemy jeden cybuch i kładziemy do ust drugi. Dziś gdy polityczna walka o byt jest tak zaostrzona, gdy każdy naród czuje do niego jednakie prawo, gdy rozwój świata się nie skończył, a spór żywiołów nierozstrzygnięty, — przejść na filologiczną wiarę M. Müllera mogą tylko... japończycy. Gdyby przynajmniej naiwny badacz oparł swą grupę języków wybranych na podstawie głównych szczepów cywilizacyjnych, — ale on upodobał sobie tylko dwa romańskie i dwa germańskie. A 100 blisko milionów słowian? Nie przedstawiają odpowiedniej cywilizacyi? Chyba grecy i rzymianie posiadali stosunkowo lepszą, niż niemcy i włosi, a jednakże dziś na ich gruzach gospodarują ci, którzy dzikiemi hordami biegając po lasach gryźli sobie żołędzie. Kto wie, czy na gruncie nowożytnych mistrzów nie porośnie kiedyś bujnie oświata słowiańska? A jeśli to przypuszczać wolno, czyż dlatego mamy zacząć pisać po niemiecku lub angielsku? Nigdy podobno weselsza humorystyka nie trysnęła z gabinetu uczonego. Zaiste, p. Jezbera zbladł przy nim. No, ale teraz nie dziwmyż się, gdy podobną teoryę spotkamy w ustach politycznego Attyli.

FOTOGRAFIA KOLORÓW

i kolorowane fotografie.

Kiedy Poitevinowi udało się zdjąć na płycie fotograficznej nietylko kontury i cienie, lecz zarazem i barwy przedmiotów, to spodziewano się, że nadzieje ostateczne Daguerra zostały urzeczywistnione. Lecz, niestety, okazało się, że jakkolwiek, przez dziwne chemiczne działanie promieni barwnych, czuła płytka fotograficzna zatrzymuje niezbyt wyraźne odcienie barw, to jednak znikają one bardzo szybko i niepowrotnie. Trzeba je było przechowywać w zupełnej ciemności, aby uniknąć zatraty.

Pomimo późniejszych poszukiwań na tem polu—najznakomitszych badaczy, że tylko przytoczymy Becquerela, nie zdoło no dojść do celu. Właściwie niewiadomo, jaką drogą postępować należy, nie wiemy bowiem dotąd jeszcze, w jaki sposób promienie barwne, działające na inne ciała, mogą je tak zmieniać, żeby one odbijały te same barwy. Jednak nie można z góry powiedzieć, że zadanie jest niemożliwem i że nie warto się niem zajmować. Póki teoretyczna strona nie jest zupełnie zbadaną, to traf może przyjść w pomoc wynalazcy.

Pierwsze, najtrudniejsze kroki już są zrobione.

Tymczasem wynalazcy starają się ominąć szkopuły na innej drodze, która już doprowadziła do bardzo zajmujących rezultatów. Pomiędzy nimi odznacza się p. Cros, którego kolorowe odbitki („epreuves“) fotograficzne oglądaliśmy jeszcze na wystawie w r. 1878. Wynalazca wytrwale pracuje na tem polu, i tak ulepszył swój sposób zdejmowania barw, że ostatnie próby, które przedstawiał niedawno w Akademii Umiejętności, są prawdziwie zdumiewające. Widzieliśmy kopię z akwareli, przedstawiającej jakiegoś szlachcica z wieków średnich, ubranego w jaskrawe kolory, doskonale oddającą szczegóły oryginału, nawet w odcieniach barw. Nie jest to jednak fotografia kolorów, we właściwem znaczeniu tego słowa, lecz tylko kopia kolorów, zrobiona przy pomocy fotografii.

Oto ogólny zarys metody, używanej przez p. Crosa, o ileśmy ją zrozumieli z krótkiej relacyi. Wynalazca wychodzi z przekonania, że wszystkie prawie kolory można otrzymać przez połączenie trzech barw zasadniczych: czerwonej, żółtej i niebieskiej. Urządza więc swój aparat fotograficzny, razem z czułą płytką tak, że naprzód z danego oryginału zdejmuje tylko te części, które posiadają promienie czerwone, następnie—żółte, a w końcu—niebieskie.

Otrzymane jednak fotografie nie są barwne, i trzeba je dopiero sztucznie kolorować, przez nasycanie każdej części odpowiednią barwą.

Gdy potem trzy przezroczyste odbicia położymy na sobie, to się kolory tak kombinują, że w połączeniu przypominają wielce oryginał.

Przyrządzenie aparatu fotograficznego, zastosowane do odbijania jednej wyłącznie barwy, jest bardzo proste. Pomiędzy szkłem przedmiotowem a oryginałem stawia się szkło odpowiednio zabarwione, albo co jeszcze lepiej—naczynie pełne zakolorowanego płynu. Wiadomo, że barwne szkło, naprzykład czerwone, przepuszcza tylko czerwone promienie, pochłaniając inne. Urządziwszy więc stosownie płytkę, można w ten sposób zdjąć tylko części czerwone.

Obecnie p. Cros doszedł do tego, że na jednej płytce, pokrytej czułą warstewką, zdejmuje trzy odbicia, które się wzajemnie przykrywają, i wytwarzają przez kombinacyą kolorów, harmonijne odcienie.

Przypominamy, że nie jest to rozwiązanie ostateczne zadania fotografii barw z natury; bo kolory nie wytwarzają się automatycznie, lecz są dodawane potem ręką ludzką; granice ich tylko i rozkład oznacza się za pomocą bezpośredniego działania światła.

Niewątpimy, że wynalazek p. Crosa znajdzie obszerne zastosowanie w przemyśle; dawać bowiem może kopie z obrazów, daleko wierniejsze i bardziej artystyczne, niż wszelkie chromolitografie.

B. A.

LIBERUM VETO.

Uwaga dla towarzystwa przeciw szerzeniu się pożarów. —Projekt towarzystwa przeciw cichym bankrutom. — Zamiast imaginacyi — historya jednej regulacyi. — *Broń* przeciw germanizacyi. — P. Gers i mazury pruskie. — Kraszewski i Sulimierski. — Potrzeba wsparcia i ostrożności. — Mizerya w *Tygodniku Powszechnym.*

Niedaleko odbiegłbym od prawdy ten, ktoby powiedział, że Królestwo Polskie jest obecnie spalone. Przestaliśmy już dziwić się coraz nowym pożarom i dziwimy się raczej, że Hrubieszów lub Wieluń dotąd nie spłonął. 50 domów spalonych... 100,000 rs. strat... 200 rodzin bez dachu — są to tak zwykłe nowiny, jak doniesienie, że 200 osób było w teatrze lub 10,000 rs. wyasygnowano na reparacyę bruków. Niedługo ludzie z prowincyi, którzy nie stracili mienia w pożarach, będą budzić w nas ciekawość, wyrównywającą widokowi szczęśliwców, którzy wygrali główny los na pożyczce premiowej. Chcąc zapewnie powiększyć liczbę tych ulubieńców losu, powstało świeżo, urzędownie pobłogosławione towarzystwo zapobiegające szerzeniu się pożarów. Nie wiem, co ta chwalebna instytucya zdziała dla osiągnięcia tego trudnego celu, pragnę wszakże zwrócić jej uwagę na pewną ważną okoliczność. Od czasu rozrodzenia się prywatnych ubezpieczeń od ognia, współzawodniczących z sobą wysokością zapewnianego wynagrodzenia pogorzelcom, pożar stał się wcale niezłym interesem. Zachodzi więc pytanie: czy licytacya towarzystw asekuracyjnych, prześcigających się w ofiarowaniu ubezpieczonym jak najlepszych warunków, nie jest czasem pobudką dla złych sumień do spekulowania na ogniu? Czy skutkiem tego nie należałoby asekuracyi ująć w pewne formy, zapobiegające nadużyciom? Miałoby to może równie dobry wpływ, jak mnożenie sikawek, tworzenie straży ogniowych i usuwanie z budowy domów materyałów łatwo zapalnych. Jakim sposobem zadanie to spełnić, wskazywać nie mogę, tem bardziej, że skoro powstało specyalne towarzystwo zapobiegania pożarom, niechże literatowi wolno będzie niem się wyręczyć w tej sprawie.

Z kolei wartoby pomyśleć o założeniu towarzystwa, zapobiegającego szerzeniu pożarów handlowych. P. J. Finkelhaus przedstawił wam, czytelnicy, w pierwszych numerach *Prawdy*—godzien poznania gatunek, *stiller bankerot* zwany. Gatunek ten żywi się „cichem regulowaniem,“ a nadewszystko wysysaniem kredytu zagranicy. Zakłada on sklepy, domy handlowe i komisowe, które nagle palą się w podstępnem bankructwie, a ich właściciele albo pocichu dają 25 za 100 swym wierzycielom, albo, zwłaszcza zagranicznym, każą adresować swe pretensye na Berdyczew. Niewinne te operacyjki zdarzają się daleko częściej, niż pożary na prowincyi, zyskują zaś mniejszy rozgłos dla tego, że je zwykle osłaniają skrzydła handlowej tajemnicy, zastrzeżonej bardzo prostym argumentem bankructwa: po cichu dam 25%, głośno nic nie dam. Trudno zrozumieć, po co wyobraźnia powieściopisarzów snuje oklepane bajki, kiedy życie dostarcza jej tak ciekawych wątków! Posłuchajcie. Pan X. otwiera dom pośredniczący w sprowadzaniu i sprzedaży zagranicznych towarów. Przez pewien czas płaci gotowizną, potem wekslami własnymi, potem wekslami nabywców. Nareszcie gdy kupiec zagraniczny zbierze już dość obfitą paczkę tych papierów, żąda ich pokrycia. Wtedy okazuje się, że weksle zręcznego pośrednika są częścią nic nie warte, opatrzone fałszywymi podpisami, częścią wystawione przez nieistniejące firmy (jak np. Donato et comp.). Zarwany kupiec zagraniczny przylatuje do Warszawy, gdzie mu dają do rozwiązania następujące zagadnienie: albo wsadzić oszustów do kozy (jeśli się złapać pozwolą) i nic nie dostać, albo ich nie wsadzić do kozy, i dostać co łaska. Nie dziw mu się, czytelniku, gdy wybierze drugą ostateczność, bo większą odniesie korzyść wyratowawszy jakąś część kapitału, niż osadziwszy za 100,000 fr. łotra w kryminale. Pojmujecie teraz wartość tajemnicy nawet dla oszukanego? Naturalnie dla oszusta jest ona jeszcze większą. „Uregulowawszy,“ odzyskuje on honor handlowy, zostaje znowu poważnym finansistą, żyje zbytkownie, i gardzi nędznym a nadewszystko biednym motłochem. Otóż, jakie potrzaski wymyślić na tych ptaszków? Czyby której z instytucyi kupieckiej nie można zamienić na towarzystwo zapobiegania cichym bankructwom? Czyby w giełdzie nie przydało się troszeczkę więcej moralności? Na litość, jeżeli najuczciwszemu człowiekowi nie wolno 24 godzin przebyć w Warszawie bez paszportu, i sprzedać w sklepie jednej igły bez konsensu, to dla czegóż najzwyklejszym rzezimieszkom ma być wolno otwierać domy handlowe i dokonywać operacyi kupieckich — bez sumienia? Niejeden podatek wydał mi się uciążliwym, ale żaden w tym stopniu, co podatek na dostatnie utrzymanie cichych bankrutów. Dla tego, że oni oszukują zagranicę, że ona przewidując straty podnosi cenę swych towarów, to my, spożywcy, którzy w tej robocie nie maczamy przecie rąk, musimy drożej wszystko nabywać. I ta nadwyżka płynie do kieszeni oszusta. Czy to nie przykry podatek? Wolę już nad Wisłą zapłacić 10 rs. za paszport zagraniczny, który nad Wołgą lub Dźwiną kosztuje tylko 5 rs.

Gdybym wiedział, że p. St. Bończa-Protaszewicz, który wynalazł *Broń przeciwko germanizacyi ziemi słowiańskiej* (Warszawa 1881), ubezpieczy nas przeciwko cichym bankrutom, odwoływałbym się do jego inwencyi. Zbadawszy wszakże jego *Broń*, wątpię o skuteczności nowego wynalazku. Autor radzi nam i naszym braciom za granicą, ażeby rozdrabianiem majątków i rozprzedażą ziemi włościanom wydzierali ją germanizmowi, któremu ona oprzeć się nie może pod postacią własności większych. Bez sprzeczki, myśl słuszna, rozumna i — dawno uznana. Ale czy to wszystko? Czy odwrócą niebezpieczeństwo nawet stowarzyszenia pod tem hasłem zawiązane? Gdyby nas niemcy pokonywali tylko talarami, możnaby zamknąć przeciw nim kieszeń, wryć się w ziemię i nie ustąpić z niej ani piędzi. Ale co zrobić z tą nieszczęsną, przez nas jedynie wyśmiewaną kulturą niemiecką, której uledz musimy? Co przeciwstawić jej oświeceńszym głowom, zdatniejszym rękom, jej pracy, wytrwałości i oszczędności? Co nasz robotnik, próżnujący przez 150 dni świątecznych w roku, pocznie z niemcem, odpoczywającym zaledwie przez kilkadziesiąt? Wprawdzie p. Bończa-Protaszewicz w całej tej kulturze widzi tylko „zgubny wpływ ducha cywilizacyi na antireligijnym liberalizmie opartej,“ ale to nie przeszkadza owej cywilizacyi zwyciężać nas wszędzie, gdzie się z nią zetrzemy. Podczas gdy nasz chłopek, rozmodlony i rozpojony, szuka po gruszkach i wierzbach cudownego objawienia się, jego trzeźwy i niesfanatyzowany sąsiad, kolonista niemiecki, niezmordowanie pracuje na roli lub w warsztacie. To też pomimo wynalezionej przez p. Bończę-Protaszewicza *broni*, niemcy stoczą słowiańszczyznę, jeśli jej ciało cywilizacyjnie gnić nie przestanie. Nawet wyparci z ziemi, opanują przemysł, handel, instytucye społeczne a pomału — i literaturę. Autor, o którym mówimy, niebezpieczeństwo to widocznie lekceważy, olbrzymia różnica cywilizacyjna wcale go nie przeraża, patrzy tylko na ziemię i ją chce otoczyć murem. Usiłowanie bardzo zacne, ale niezapewniające, że wróg nie wejdzie z innej strony i właśnie z tej, z której go się najmniej spodziewamy. Na przykład ze strony *Gazety leckiej*.

J. I. Kraszewski pomieścił w *Tygodniku Illustrowanym* list p. Gersa, jej redaktora, wzywając współrodaków o pomoc w działaniu śród mazurów pruskich. „Kocham bardzo — pisze p. G. — mowę polską, bo śliczna, jakby ją filozofowie utworzyli. I moja mowa macierzyńska jest też polska, choć mazurska... Jeśliby mnie wesprzeć chciano, daloby się to wykonać: 1) subwencyą pieniężną; 2) abonowaniem *Gazety*, bo choćby się polacy bez niej obyć mogli, idzie o to, aby ją utrzymać; 3) dobrą byłoby rzeczą, gdyby nakładcy ksiąg czasem jakie klisze przysłać raczyli. *Najgorętszem usiłowaniem mojem jest oświata mazurów w ich macierzystej mowie polskiej*... Jeśli może przyjść po-

moc, niech przyjdzie rychło, bo dalej nie wytrzymam.“ Do wyznań tych J. I. Kraszewski dołączył gorące ze swej strony poparcie, i wezwał ogół nasz do miłosierdzia. Zdawałoby się, że p. Gers jest zbawicielem polskości w Niemczech, ideałem patryotycznego poświęcenia, tym czasem... „P. Gers —powiada *Wędrowiec*—jak tego dowodzą: *Gazeta lecka* i redagowane przez niego kalendarze polskie, pisze po polsku tylko dla tego, żeby szerzyć śród mazurów nienawiść do wszystkiego, co nie jest pruskiem i najpiękniejsze skarby naszej polskiej narodowości zohydza... Ostrzegamy niniejszem kogo należy, i wzywamy tych, co znają mazury pruskie, aby się przecie zajęli wyszukaniem godniejszej osobistości dla ratowania tej ziemicy od ostatecznego zniemczenia.“ Mamy więc p. Gersa w dwu odmiennych postaciach: według fotografii Kraszewskiego—jest to polski olbrzym, według Sulimierskiego— pruski karzeł. Wybierać między temi ostatecznościami trudno, zdaje się jednak, że ostatni wizerunek bardziej zbliżony do prawdy, gdyż w następnym numerze *Tygodnika Ilustrowanego* jakiś obznajmiony z tą sprawą p. I. S. pisze: „P. Gers, dawny, jeśli się nie mylę, urzędnik pruski, redagował dotąd swoją gazetę i pisma przez siebie wydawane w duchu pruskim, i drukuje je pismem gotyckim, czyli niemieckiem.“ Wobec tego faktu, pomoc nasza dla mazurów pruskich jest bardzo pożądana, ale pośrednictwo p. Gersa bardzo wątpliwe. Nie pierwszy to raz po bliższem zbadaniu rozczarowywamy się do zagranicznych męczenników sprawy polskiej; należy więc tylko dziwić się pośpiechowi w wydawaniu im poważnych rekomendacyj.

Przypadek, prosty przypadek naprowadził mnie na ciekawe odkrycie. Oglądałem *Małpozwierza Wari* na ostatniej ścianie *Tyg. Powszechnego*, nie myśląc wcale zaglądać do tego nudnego lamusu starych klisz i młodych artykułów, gdy nagle, przewracając kartki, natrafiłem na wykrzykniki: „wy! wy młodzi! moi panowie!“ Czytam dalej — formalne kazanie na temat książki p. Chmielowskiego. I cóż to za pęcherzyk tak się nadyma? Patrzę na podpis: *Kazimierz Grzymała* — osobistość równie w literaturze znana, jak p. A. Goraj. Aż krzyknąłem: mizeryo, mizeryo, komu to świat gubić! Jeśli nas pamięć nie zawodzi, Galicya była za małą, przybył więc do nas, ażeby się swobodniej rozeprzeć, akurat wtedy, gdy walka prasy starej z młodą przycichła. I dziś ocenia, kto bił się uczciwie, a kto licho. O mizeryo, mizeryo! Niedługo roznosiciele młodej i starej prasy głos w tej sprawie zabiorą. Nie trzeba znać rzeczy, badać przyczyn ruchu, uczestniczyć w nim, dość „sześciu tygodni oddychania świeżem powietrzem,“ aby mieć prawo zawołać: „wy! moi panowie.“ Nie pańscy, panie Grzymało. Ale opuśćmy go, bo słusznie przypomina: z jakim przestajesz, takim się sam stajesz — a my nie mamy wcale chęci stać się p. K. Grzymałą. „Wy, wy młodzi, moi panowie“ — o, mizeryo!

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Niedawno temu *Gaz. Lub.* pomieściła korespondencyę, w której szeroko opisano typowe zdarzenie, połączone z gorzkim zawodem, wynikłym z kupna kawałka ziemi, za pośrednictwem faktora „Arona“. Rzecz się tak miała. Jakiś obywatel, pragnący nabyć majątek, powierzył swe losy (sposobem zdawna uświęconym przez *niepokalanie polską* tradycyę) czułej opiece jednego z tych ludzi, którzy za główny cel w życiu położyli sobie eksploatowanie naiwności staroszlacheckiej. Telemak z nieodstępnym u boku Mentorem, wypłynąwszy z małomiasteczkowego portu, zawitał do wioski, opiewanej uroczo wymownemi usty przewodnika, i przekonał się, że obraz nie kłamie oryginałowi. „Majątek przedstawił się świetnie: dom nowo-wyrestaurowany z kompletnem umeblowaniem, park i ogród owocowy rozległy, budowle ekonomiczne symetrycznie położone, inwentarz niezły... Słowem państwo X. zostali zachwyceni, i musieli przyznać swojemu pośrednikowi, że nic nie przesadził, chyba to, że w majątku tym sprzedaje się tysiące korcy pszenicy i innego zboża, co trudno było sprawdzić, gdyż księgi i regestra nie były w porządku...“ Zażądano — 2500 rs. za włókę. Wysoka cena przeraziła konkurenta i wpłynęła bezpośrednio na ochłodzenie zapału. Ale od czegoż Aron? W chwili wątpliwości i wahania występuje on, jako regulator „wolnej woli“ swojego pupila: udaje, że sam nabywa las, który stanowi jednę z pereł w koronie, i że płacąc 9 tysięcy rs. za włókę, jest pewny grubego zarobku. P. X. poczuł nagłe oskomę, odrestaurował upadłą decyzyę i tyle dokazał, że Mentor za stosowną nagrodę porzucił myśl zerwania złotego jabłka, poświęcając się tym sposobem dla szczęścia Telemaka. Zbytecznym byłby tu epilog. Zawody w życiu ludzkim do zwykłych, niestety, należą zjawisk. Nabywca nie chciał odszukiwać punktów stycznych między zmysłową rzeczywistością a abstrakcyami rachunkowemi: zaufał, i dobrze zrobił, bo... dostarczył ludziom przedmiotu do popularno-ekonomicznej dyskusyi. Mentorowi za dobrą lekcyę należy się dodatkowe honoraryum. Ale wy, którym losy odmówiły kapitałów i nieruchomości, uczcie się rachować i po twardym bruku stąpać o własnej sile, bez pomocy „Arona“... Mimowoli nasuwa nam się pod pióro kwestya kas pożyczkowych. Jestto rzecz tak doniosłego znaczenia, że wszelkie biura, kantory, pracownie powinny ją zapisać w regestrze spraw najpilniejszych, i energicznie przyoblekać w żywą formę spełnionego czynu. Niedawno czytaliśmy sprawozdanie z ubiegłego roku działalności instytucyi podobnej, istniejącej od lat kilku przy Izbie skarbowej w Kielcach. Liczy ona obecnie 68 członków, a obrotowy jej kapitał wynosi 8.938 rs. i 59 k. Jakże pożądanym jest taki bank prowizoryczny dla każdego, co nie może wiele oszczędzać, a nie ma sposobu uwolnić się od despotyzmu fatalnej rubryki „nadzwyczajnych wydatków! Ale czy zawsze instytucya podobna dobre dla stowarzyszonych przynosi owoce? Nie zawsze; wtedy tylko, gdy na jej czele stoją ludzie pilni, ostrożni a uczciwi. Zakładajmy więc kasy pożyczkowe, i opatrujmy je wiernymi stróżami. Im prędzej, tem lepiej; bo rubryka wydatków *nieprzewidzianych* może nagle zażądać koniecznej ofiary, w rodzaju tych, jakie ponoszą mieszkańcy Łęczny, Zwolenia, Wolborza, Mińska, Słucka i innych miejscowości, dotkniętych świeżo klęską pożaru. A nie ten jeden tylko gatunek upominków z puszki Pandory fotografują obecnie łamy prowincyonalnych i warszawskich gazet. W Sejneńskiem pojawił się karbunkuł, gdzieindziej znów szalała burza, a piorun parę trupów ludzkich na ziemi położył; ale to wszystko niczem jest w porównaniu z najsmutniejszym, a ciągłym faktem—z demoralizacyą ludu. Oto maleńka illustracya tej gorzkiej prawdy. „W lasach Rudy Guzowskiej (jak donosi *Kuryer Codzienny*) kolониści wsi Józefowa, przytrzymani na kradzieży drzewa przez miejscowego gajowego, rzucili się na niego i zabili na miejscu. Nieszczęśliwy zostawił żonę i sześcioro dzieci.“ Oprócz leśnego złodziejstwa, koniokradztwo i podpalanie znajduje śród naszego gminu ogromną liczbę wyznawców. Inteligencyo wiejska, przebudź się! *Duchowni*, pomyślcie czasem, w swobodnych chwilach poobiedniego odpoczynku, o biednym *duchu* waszych owieczek!...

A—m.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 10 sierpnia.

Zjazd monarchów Austryi i Niemiec w Gasteinie odbył się wedle programu bez udziału ministrów, których nieobecność najlepiej potwierdza zdanie, że tego rodzaju fakty niekoniecznie muszą ciągnąć za sobą doniosłe polityczne następstwa. Jeśli, co najwyżej, uznać można zjazd w Gasteinie za demonstracyę trwałości przymierza niemiecko-austryackiego, — to i w tem świetle nie przedstawia on materyału, któryby był zdolen zainteresować silniej świat polityczny. Zjazd przeto nie przyczynił się nic do ożywienia ruchu na widowni ogólno europejskiej polityki, która teraz dopiero rozpoczęła swój martwy sezon.

Za to ważne i ciekawe rzeczy dzieją się w sprawach wewnętrznych dwóch najpotężniejszych mocarstw Europy: Francyi i Niemiec. Zacznijmy od drugich.

Przepowiednie, że ks. Bismarck, porzuciwszy obóz liberalny i wszedłszy na drogę reakcyi, nie uniknie w końcu wizyty w Kanosie, sprawdziła się już ostatecznie. Rząd pruski po cichu, bez hałaśliwych układów zawarł porozumienie z Rzymem, poczyniwszy znaczne, zasadnicze ustępstwa z praw majowych. Pierwszym wyrazem tej zgody jest obsadzenie stolicy biskupiej w Trewirze, niespodzianka, którą zaskoczeni zostali nietylko liberałi, ale nawet centrum klerykalne. Doniosłość samego faktu ze strony prawno-politycznej objaśnia to, że nowy biskup, ks. Korum ze Strasburga, wchodzi na urząd, chociaż nie odpowiada ani jednemu z głównych warunków, jakie dla kandydata do posady duchownej stawia prawo pruskie. Żąda ono mianowicie, aby kandydat ukończył studya na jednym z niemieckich uniwersytetów a nadto, aby złożył państwowy egzamin. Warunki te rząd pominął, korzystając z władzy dyskrecyonalnej, udzielonej mu przed rokiem przez Sejm. Niemniej ciekawe jest, że o wzajemnych koncesyach ze strony kuryi nic nie słychać; przypuszczać więc trzeba, iż jestto dopiero początek ugody, której z góry chciano dać widome świadectwo, a która traktowaną będzie jeszcze w dalszym ciągu. Za darmo chyba nie kapitulował Bismarck, tem mniej, że poparcie stronnictwa centrum na wyborach i w Izbie wcale nie jest jeszcze niewątpliwem.

Francuska kampania wyborcza postępuje spokojnie. Dotychczas tylko Gambetta wystąpił z mową programową w Tours, której treść tak reasumuje telegram: Francya w ostatnich dziesięciu latach podniosła znów swoje finanse i swoją potęgę militarną pod sztandarem Rzeczypospolitej. Partya monarchiczna zwalczona, a dla Rzeczypospolitej nadeszła chwila spełnienia oddawna przyrzeczonych zadań wyswobodzenia społeczeństwa, zupełnej wolności politycznej i niczem nie ograniczonego postępu. Gambetta wyrażał się w gorących a przyjaznych słowach o prezydencie republiki, zwracał uwagę na okoliczności obecne i wyraził ubolewanie, że odrzucenie skrutynium z listy nie pozwoliło powołać do Rady całego ludu, całego obozu demokratycznego. Następnie przedstawił, uważane przez siebie za niezbędne, reformy, i potępiał odrzucenie przez Senat nauczania świeckiego. Jest on za utrzymaniem obu Izb, ale chce, aby one przejęte były jednym duchem wolności. Pierwsi senatorowie, wybrani przez zgromadzenie narodowe, muszą się poddać nowym wyborom na

kongresie. Gambetta żąda dalszego rozwoju nauczania, jak również zupełnej swobody stowarzyszeń. Francya rozstrzygnie zresztą wszystkie te kwestye. Francya jest republikańska, przeto nikt jej głosowi się nie sprzeciwi. W razie starcia, będzie ono tylko współzawodnictwem o spełnienie wielkich obowiązków, a nie o władzę. Dodać należy, że większość dzienników republikańskich niezbyt przychylnie przyjęła program Gambetty; zwłaszcza rewizya konstytucyi co do Senatu nie znajdzie w nich poparcia. Wogóle przyjęcie, jakiego Gambetta doznał w ciągu tej wycieczki, było dosyć chłodne.

We Włoszech rząd wystąpił z represyą przeciw ruchowi domagającemu się zniesienia ustawy gwarancyjnej papiestwa. Meeting, zwołany w tej sprawie w Rzymie, policya rozwiązała i nawet odczytać rezolucyi odnośnej nie pozwoliła. Nazajutrz skonfiskowano dzienniki, które tekst projektowanej rezulucyi ogłosiły.

S. S.

LIST OTWARTY [1])

do Pana Walerego Przyborowskiego.

Szanowny Panie!

Zdarzają się na świecie różne wypadki.

Słowa te wymawiam z głębi zdumienia, w jakie pogrążył mię wypadek, któremu uległam. Chciej Pan łaskawie, za pośrednictwem *Kuryera Codziennego*, czytającą publiczność uczynić powiernicą uczuć, których pokorne przemilczenie przechodzi słabe siły moje. Stała się ze mną rzecz, niezdarzająca się nigdy w dobrem towarzystwie, to jest w towarzystwie ludzi dobrze wychowanych, śród których od urodzenia żyję.

W domu pewnym, niedawno, przez dni dziesięć czy więcej z rzędu i bezustanku, ogadywano i łajano bardzo srodze i mnie i co więcej, kogoś, kogo bardzo wysoko, a dla gospodarzy domu tego zupełnie świadomie, szanuję i cenię. Potem, to jest wnet po wzmiankowanem łajaniu i ogadywaniu, jak gdyby nic nie zaszło, wzięto mię za ręce i w tym samym domu posadzono na kanapie, tak dobrze, że chcąc niechcąc siedzieć tam muszę. Siedzieć na kanapie, w tej samej izbie, w której przed chwilą mówiono o mnie, że jestem „pierwszą lepszą miernością zazdrosną o cudzą sławę,“ a o kimś bardzo szanownym i bardzo jawną wspólnością myśli i pracy ze mną zestosunkowanym wygadywano takie niestworzone rzeczy, że powtarzać je byłoby wstyd i nudno, siedzieć w tej izbie, pomiędzy tymi plotkarzami i pokornie milczeć — nie mogę! Przytem, proszę Pana, żyją tam ludzie strasznie ciemni, którzy mniemają np. że Bain i Baines, to jedno i to samo, że Bain i Herb. Spencer dawno już temu poumierali, że Stuart Mill całe kilkanaście lat przed śmiercią swoją milczał jak grób, że Heine był nie tylko wielkim poetą i satyrykiem, ale nadto i jedynym filozofem XIX wieku, zapewne jeszcze żyjącym. Ja, proszę pana, chociaż jestem kobietą, o tyle więcej umiem od tych panów, że znajdowanie się w ich towarzystwie trochę mnie upokarza, a bardziej jeszcze nudzi. Nie twierdzę przez to wcale aby pobieżna przynajmniej znajomość tego, co działo się i dzieje w umysłowym świecie, koniecznie i nieodbicie potrzebną była do szczęśliwości człowieka w tem życiu, a zbawienia duszy jego, w innem. Lecz jedno z dwojga, albo prostak skromny i nie mający pretensyi do czego innego, jak do tego, czem uczyniły go natura i wychowanie, albo człowiek naprawdę oświecony. Ale gatunek środkowy, przedstawiony przez tę odmianę człowieka, która ma siebie za powagę i potęgę umysłową, a w gruncie rzeczy, o bożym świecie niewie i żywego od umarłego, poety od filozofa, a krytyki od paszkwilu odróżnić nieumie, to, proszę pana, gatunek to dla mnie tak nudny, że ja z nim wcale przestawać nie chcę, a nie chcę nie przez kaprys doprawdy, ale wprost przez działanie instynktu zachowawczego, tego samego instynktu, który od dzieciństwa napełniał mię wstrętem do płodów natury, zawierających w sobie pierwiastki usypiające umysł—jednym z których to płodów jest naprzykład: mak. Jednak uczyniono mi tę psotę i posadzono mię tam, gdzie siedzieć nie chciałam; wyrażając się językiem obrazowym, posiano mię na jednym zagonie z makiem.

Ale szanowny Pan nie rozumie pewno jakim sposobem stać się to mogło i jakim sposobem ja popaść mogłam w tę niestosowną dla siebie sytuacyę. Będę więc zupełnie jasną i powiem Panu, że wszystko co powyżej — to metafora, takie sobie, z powieściopisarskich przyzwyczajeń pochodzące, plastyczne zobrazowanie sytuacyi. Mówiąc prozą, dom o którym napomknęłam, znaczy: *Kuryer Warszawski*; kanapa, to felieton *Kuryera;* osoba na kanapie posadzona, to nowelka przezemnie napisana; ludzie, którzy na D-ra Chmielowskiego i na mnie przez dziesięć dni z rzędu straszne rzeczy wygadywali, Baina i Spencera, tych tak mało w świecie znanych biedaków, żywcem w grobach złożyli, a dowcipy Heinego za ostatnie wyniki badań ludzkich brali, to felietonista, czy krytyk, czy już niewiem co *Kuryera Warszawszkiego*. p. Goraj i naturalnie, odpowiedzialni za poprawność *Kuryerowej* myśl i wiedzy, przewodnicy pisma tego.

Było to tak. Przed dwoma czy trzema miesiącemi, a była to pora, w której świat mniemał, że p. Goraj jeszcze się nie narodzi, tak zupełnie jak p Goraj mniema teraz, że Herb. Spencer już umarł, przyjaciel mój i pełnomocnik w literackich i wydawniczych sprawach p. S. M. przedstawił Redakcyi *Kuryera Warszawskiego* malutką nowellę moją p. t. *Złota nitka*, którą taż Redakcya drukować niebawem przyrzekła. Ponieważ dla względów zupełnie osobistych szło mi o prędkie wydrukowanie tej drobnostki, ponieważ nieraz już prace moje drukowanemi były w *Kuryerze Warszawskim*, ponieważ nadewszystko nie wiedziałam wcale o blizkich narodzinach p. Goraja, przeciw układowi zawartemu przez p. M. z *Kuryerem Warszawskim* nic wcale niemiałam. Wkrótce też potem, spokojna i żadnej katastrofy życiowej nie przewidująca, pojechałam w dalekie strony i kraje... gdzie mię żadne echa swojskich melodyi i pieśni nie dolatywały. Po kilku tygodniach wracam na łono ojczystej ziemi i, o nieba! czegóż się dowiaduję? o czemże mówią mi znajomi i przyjaciele moi? co własnemi przychodzi mi czytać oczami? Oto: p. Goraj już przyszedł na świat i mocą prawicy jego, w *Kuryerze Warszawskim* dokonywa się zbiorowe morderstwo, za jednym zamachem unicestwić mające Baina, Spencera, D-ra Chmielowskiego i mnie!

Przeciw zamordowywaniu mnie w tak dostojnem i świetnem towarzystwie nic a nic nie mam, gdyż stokroć jest milej ginąć ze lwami niż żyć z komarami i zresztą śmierć to wcale niepewna. Lecz właśnie dla tego, że niemam upodobania w brzęczeniu komarów i że więcej jeszcze niepodoba mi się, gdy one kąsają lwów, uważałam za stosowne dla siebie i *Kuryera* wycofać z pisma tego malutką pracę moją. Dla mnie było to stosownem ze względów różnych, ale dla *Kuryera* jeszcze stosowniejszem.

Skoro bowiem krytyk *Kuryera* poczytał D-wi Chmielowskiemu za stronność niesłychaną i winę, absolucyi dostąpić nie mogącą, to, że wyznaczył mi on w książce swej miejsce zaszczytne zamiast „pośledniejszego,“ które mi się należało, skoro następnie utrzymywał (opierając się zapewne na Heinem), że utwory jednego z pisarzy naszych upośledzonemi zostały przez chęć dogodzenia próżności „pierwszej lepszej mierności, zazdrosnej o czyjąś sławę,“ prostą już wydawało mi się rzeczą, że drukowaniem pracy mojej, choćby najdrobniejszej, *Kuryer* narazić się może na zarzut nieprzebierania pomiędzy autorami, a zatem i zdepopularyzować się nieco. A byłaby to przecież szkoda tak wielka. Wszystko to mając na względzie i uwadze, napisałam do Redakcyi list z odpowiednią, uprzejmą prośbą, na co otrzymałam słowną odpowiedź, że rękopis mój zwróconym mi zostanie. Naspełnienie obietnicy tej czekałam— o parafiańska naiwności!—całe trzy dni, poczem jak to już sz. Panu wiadomo, poważyłam się utrudzać Pana upoważnieniem i prośbą, wzięcia z Redakcyi *Kuryera* rękopisu mego. Zanim atoli sz. Pan miał czas uczynić użytek odpowiedni z mego upoważnienia, już nazajutrz po jego otrzymaniu, *Kuryer* rozpoczął druk *Złotej nitki*.

Złota nitka jest drobnostką, o której nie warto pewnie i tylu słów pisać, ile jam-tu ich napisała. To też nieidzie wcale o nią, ani o jej wielkość lub wartość, tylko o ten fakt dla mnie niespodziewany, że siedzę tam gdzie siedzieć nie chciałam, i gdzie aby mnie nie sadzano, pięknie prosiłam. I ten także fakt jest dość drobnym wobec wszechświata, ale dla mojej drobnej osoby, jako też dla reguł rządzących przyzwoitością towarzyską i literackimi obyczajami, posiada on znaczenie pewne. Dla tego pozwoliłam sobie zająć nim przez chwilę uwagę Pana i czytelników *Kuryera Codziennego*.

Stało się. Siedzę. I nie jest to dla mnie boleścią ani nieszczęściem, lecz tylko przyczyną głębokiego zdumienia..., że takie niezmierne potęgi umysłowe mogą bawić się w tak puste i nieprzystojne psoty. „Nieuchodzi! Nieuchodzi!“ powtarza często w pewnej komedyi Fredry ojca, pewien ks. kapelan. A przecież ks. kapelan to nie byle jaki śmiertelny pozytywista, to ktoś, co wiecznie żyje i kogo słuchać ze wszech miar należy. Jeżeli więc jest to psota, żarcik uczyniony dla śmiechu, sam ks. kapelan powiedziałby „nie uchodzi!“ Jeżeli jednak rzecz stała się tak sobie, mimowoli, naiwnie, co także być może, wypada już mnie samej skreślić tu aksyomat bardzo prosty, bo ze zwyczajów panujących w dobrem towarzystwie zaczerpnięty. Oto aksyomat ten: człowiek dobrego towarzystwa, jeżeli wypadkiem, pod chwilowym wpływem anti-cywilizacyjnych popędów, ogada i wyłaje innego człowieka i jego przyjaciół, bacznie potem unika wszelkiego z nim spotkania, a szczególniej, jeśli go kiedykolwiek do domu swego zapraszał, stara się usilnie zapraszanie to we wzajemną pogrążyć niepamięć. Jest to obyczaj, jak w ogóle większość dobrze zrozumianych form towarzyskich, bardzo racyonalny i przyjemny.

Zwierzywszy się przed sz. Panem ze zdumienia swego i przyczyny, które mię niem napełniły, skończyłabym już pisanie to, gdyby nie dwie bardzo serdeczne prośby, któremi na mocy przyjaznych stosunków naszych, utrudzać Pana poważę się.

Prośba pierwsza. Potrzebuję na gwałt astrologa, któryby mi wskazał tę ciemną gwiazdę, pod którą urodziło się wydawnictwo wileńskie, oraz drogę, jaką mogłoby ono przejść pod opiekę przyjaźniejszej planety. Gwiazda to widocznie ciemna, gdyż najjaśniejsze rzeczy, wychodzące u nas, doświadczają tego nieszczęsnego losu, że się pewnej części prasy warszawskiej czarnemi przedstawiają. Ani powaga traktowanych przedmiotów, ani ponętność obrobienia, ani cenione i szanowane imiona autorów, nic na to nie pomagają. Co wyjdzie książka, to czarna. To jakby zaklęcie jakie! Trzeba mi koniecznie astrologa. Tylko, czy są jeszcze na świecie astrologowie? Myślę, że być muszą, skoro są i w znacznej ilości—ludzie z epoki astrologii a alchemii. Racz mi więc Pan łaskawie wyszukać w Warszawie i przysłać astrologa, ale takiego, któryby dla przeprowadzenia wydawnictwa wileńskiego pod jaśniejszą gwiazdę wynalazł drogę, której nie znam. Jedną bowiem znam. Nazywa się ona: „lepiej z tłumem niż z rozumem.“ Nie użyję jej nigdy.

Prośba druga. Chciej sz. Pan po ukończeniu w *Kuryerze Warszawskim* druku mojej nowelki, otrzymać w zastępstwie mojem należne mi honoraryum, a następnie ofiarować je, w imieniu też mojem i w całości, Osadom Rolnym, jako instytucyi posiadającej oprócz wielu innych tę wielką zaletę i zasługę, że zaniedbane dzieci, którymby nieraz pewnie groziło niebezpieczeństwo zostania mizernymi literatami, artystami i t. p. chybionemi a niewinnie szkodliwemi istotami, kształci na prostych, lecz pracowitych i pożytecznych rolników lub rzemieślników.

O cyfrze honoraryum uwiadomię Pana wnet po otrzymaniu wiadomości o niej od p. M.

Mając nadzieję, że koleżeńskich i przyjacielskich przysług, o które proszę, odmówić mi Pan nie zechcesz, pozostaję z wysokim szacunkiem i szczerze przyjazną,

Eliza Orzeszkowa.

7 sierpnia, 1881 r.

Miniewicze nad Niemnem.

---

[1]) „*Naturalia non sunt turpia*“ („*Rzeczy naturalne nie są szpetnemi*“). Myśl zawarta w tem zdaniu dodaje nam otuchy, ilekroć zmuszeni jesteśmy zbliżyć się do bagienka, którego najpokaźniejszą, od kilku tygodni, ozdobą stał się nowonarodzony, a tak donośnie skrzeczący, sławny pogromca tendencyjności w krytyce. Ta sama pobudka, w połączeniu z poczuciem obowiązku, jaki na nas wkłada sam tytuł *Prawdy*, zniewala Redakcyę do przedrukowania energicznego protestu p. Orzeszkowej, który w charakterze okólnika pomieścił w swych łamach przedonegdajszy numer *Kuryera Codziennego* (*Red.*).

KRONIKA BIEŻĄCA.

Stowarzyszenia. Stowarzyszenie politechników polaków w Dreznie ogłosiło sprawozdanie za półrocze letnie 1881 r., liczyło ono obecnie 8 członków, posiedzeń odbyło—8 zwyczajnych, i dwa ogólne. Odczytów było 8, biblioteka liczy tomów 252.

Sprawy społeczne. Towarzystwo przeciwdziałania pożarom zostało zatwierdzone w Petersburgu; działalność jego rozciąga się na całe państwo.

— Puszki przy studni w ogrodzie Saskim w Warszawie, umieszczone niegdyś za staraniem Stanisława Jachowicza, w ciągu lat 36 przyniosły biednym 13,000 rubli.

— Tramwaje w Warszawie na linii pierwszej wykonano już—od rogatki Mokotowskiej do ulicy Chmielnej, na Nowy Swiat.

Szkoły i uniwersytety. Profesorem zwyczajnym języka i literatury rosyjskiej w uniwersytecie warszawskim mianowany został p. Budiłowicz, profesor instytutu historyczno-filologicznego w Nieżynie.

— W Kańsku, jak donosi gazeta *Sybir*, tameczny kapitalista Niekrasow ofiarował 100,000 rubli na założenie gimnazyum.

— Uniwersytet warszawski ogłosił w r. b. następujące tematy do rozpraw fakultetowych na medale:

A. Wydział filologiczno-historyczny:

1) Z historyi powszechnej: „Państwo i kościół w Polsce w XV wieku."

2) Z języka greckiego i literatury greckiej: „Fonologiczne i morfologiczne właściwości języka Teokryta w porównaniu z mową starożytną."

3) Z historyi literatury rosyjskiej: „Bajki Sumarokowa w porównaniu z bajkami innych autorów."

B. Wydział fizyczno-matematyczny:

1) Z matematyki: a) Zależność własności linii krzywych od formy wyrażenia współrzędnych w funkcyi dowolnego parametru. b) Rozwiązanie równań algebraicznych, za pomocą funkcyj transcedentalnych.

2) Z mechaniki: „O ruchu ciała stałego w cieczy."

3) Z fizyki: „Teoretyczne i doświadczalne zbadanie elektrycznego działania kondensatora."

C. Wydział nauk przyrodzonych:

1) Z botaniki: „Systematyczne zbadanie przedstawicieli klasy wodorostów, napotykanych w okolicy Warszawy."

2) Z mineralogii: „Porównawcze, mikroskopijne zbadanie głazów eratycznych w okolicach Warszawy, z tego rodzaju głazami w północno-zachodniej Rosyi i Szląsku." Pożądaną byłoby rzeczą, ażeby piszący tę rozprawę zwrócili uwagę na pokłady górne w Finlandyi, Szwecyi, Norwegii, i porównali z nimi pokłady górne, z których składają się głazy z okolic Warszawy, w celu oznaczenia prawdopodobnego ich pochodzenia.

Z chemii (temat zeszłoroczny): „O reakcyach, którym towarzyszy intramolekularne przegrupowanie atomów, w połączeniu z teoryą budowy związków organicznych."

Nauki. Dyrektor zakładu dolno-austryackiego dla obłąkanych w Wiedniu, dr. Schlager doszedł drogą długich doświadczeń, że kolory niebieski działa silnie na umysł, a mianowicie, że kolor niebieski działa uspokajająco.

— Dr. Tanner, słynny eksperymentator postu czterdziestodniowego zmarł; głośny post jego zapewne niemało przyczynił się do przyśpieszenia śmierci.

Przemysł, handel i komunikacye. Zarząd kolei iwangrodzko-dąbrowskiej już się ukonstytuował; prezesem rady zarządzającej został wybrany hr. Z. Wielopolski, głównym inżynierem p. Kopytowski.

— Droga żelazna libawska sprzedaną została towarzystwu, na którego czele stoi inżynier portowy Mejnhard.

— Postanowiono położyć drugą parę szyn na kolei warszawsko-terespolskiej.

Literatura polska. Powieści Jeża zyskują coraz większy rozgłos za granicą. Pewien wydawca paryski nabywa prawo przekładu pięciu jego utworów za 25000 franków.

— Tom XIX *Biblioteki najcelniejszych utworów literatury europejskiej* za lipiec zawiera: Dzieje literatury powszechnej. Uskoki, powieść z dziejów Słowiańszczyzny południowej p. Jeża. Francya przed rewolucyą p. Taine'a. Komedye wybrane: Lope de Vegi. Pieśń o Nibelungach w przekładzie Szabrańskiego.

— Ateneum za miesiąc sierpień zawiera: I. Mikołaj Sęp Szarzyński, *Felicyana*. II. Tatry i podhalanie *Wrześniowskiego*. III. W grudniowe dni, nowella autora „Prawdi plotek." IV. Po bitwie przy Białej Górze, *Jarochowskiego*. V Kometa, powieść p. *Zacharyasiewicza*. VI. Dyplomacya Sobieskiego, archiwum spraw zagranicznych francuskie do dziejów Jana III, p. *Lucasa*. VII. Rozbiory, sprawozdania i krytyki. VIII. Przegląd dramatyczny, p. *Chmielowskiego*.

Sztuki piękne. Nakładem Wydawnictwa *Kłosów* wyszedł piękny drzeworyt, przedstawiający kopię z obrazu Matejki: *Pozorna zgoda synów Władysława Hermana*.

Teatr. W Alhambrze odegrano po raz pierwszy operetę p. Guniewicza p. t. *Djabeł w Karpatach*; w Bellevue komedyę Blizińskiego *Rozbitki*.

— Znakomity śpiewak, p. Mierzwiński występuje obecnie z wielkiem powodzeniem na scenie warszawskiej.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— *P. M. K. w Kościanie.* Prosimy o uwiadomienie p. M. Maleckiej, z której „polecenia" list odebraliśmy, że nasze książki prenumeracyjne nie wiedzą wcale o jej istnieniu, a zatem my nie możemy uwzględnić jej niełaski.

OGŁOSZENIA.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 30 Іюля 1881 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.